



www.poznaj-swiat.pl

Poznaj Świat

5
2017

Cena 10,90 zł (w tym 8% VAT)

MIESIĘCZNIK PODRÓŻNICZO-GEOGRAFICZNY

MADERA OGRÓD ATLANTYKU

str. 12

str. 40

UZBEKISTAN

KRAJOBRAZ PO BAWELNIE

str. 88

NORWEGIA

NIE SAMI SAAMOWIE

str. 24

AUSTRALIA

NAJSTARSZA
KSIĘGA ŚWIATA

ROSJA STR. 52

MOSKWA: STRASZNE HISTORIE

BRAZYLIA STR. 80

Z SIŁĄ WODOSPADU

CYPR STR. 72

MARATON KULINARNY



KENIA
STR. 32

ISSN 0032-6143 INDEKS 369802

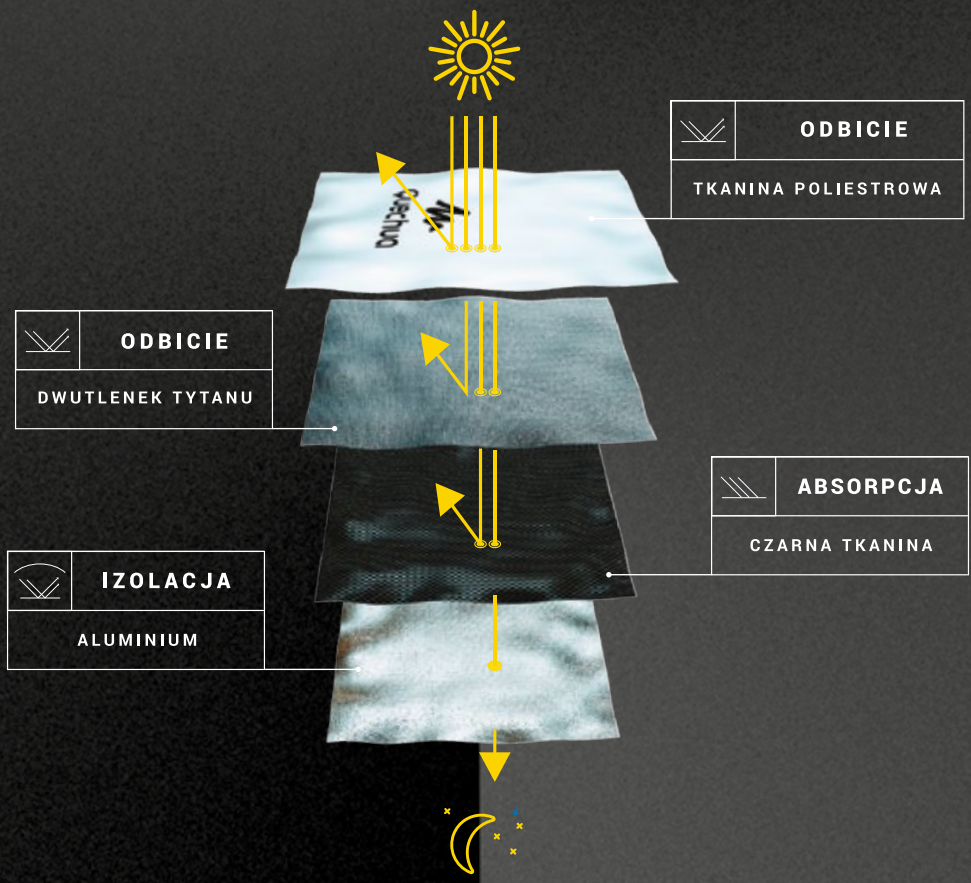


917700321614704 05

INNOWACJA

**NAMIOT
FRESH & BLACK**

**JAK TO DZIAŁA?
4 WARSTWOWY KOMPONENT**



NAMIOTY OD 149,99 zł



PRODUKT DOSTĘPNY
W SKLEPACH

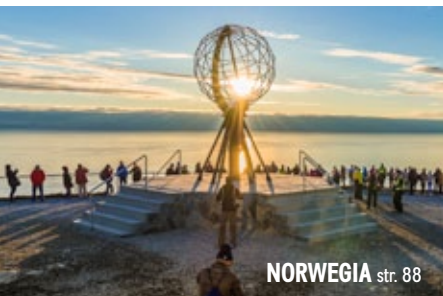


ORAZ NA [decathlon.pl](https://www.decathlon.pl)
KUPUJ ONLINE

AUSTRALIA str. 24



KENIA str. 32



NORWEGIA str. 88



UZBEKISTAN str. 40



CYPR str. 72

W NUMERZE...

FOTOFORUM str. 4
Najlepsze zdjęcia
naszych Czytelników

PORTUGALIA str. 12
Madera to ogród Atlantyku.
Tomasz Owsiany

AUSTRALIA str. 24
Bogactwo parku Kakadu.
Elżbieta i Piotr Hajduk

KENIA str. 32
Nurkowanie na rafach
koralowych, łowienie ryb
w oceanie, wylegiwanie
się na pięknych,
niezależnych plażach.
Elżbieta Pawełek

UZBEKISTAN str. 40
Pejzaż Karakałpacji to
głównie słońca i pustynia,
usiana jednak skarbami
przeszłości.
Radosław Kożuszek

GEOSKOP str. 48

ROSJA str. 52
Moskwa: straszne historie.
Maciej Jastrzębski

PODRÓŻNOŚCI str. 58
M jak majówka.
Felieton Magdaleny
Żelazowskiej

USA str. 60
Amerykanie nazywają San
Diego najwspanialszym
miastem w Stanach.
Małgorzata Jarzembowska

NAVIGATOR str. 68

POZNAJ ZWYCZAJ str. 72
Cypryjski maraton kulinarny.
Marta Legieć

MIKROWYPRAWY str. 78
Pielgrzymka do Tykocina.
Felieton Łukasza
Długowskiego

BRAZYLIA str. 80
Szukając ukrytych w dżungli
wodospadów, można się
poczuć jak Indiana Jones.
Albert Karch

POLSKA NIEZNANA str. 86
Czas na arboreta.
Felieton Mikołaja
Gospodarka

NORWEGIA str. 88
Mieszkańcy Finnmarku
twierdzą, że to zupełnie
osobny kraj.
Kamil Ulik

ŚWIAT W OBIEKTYWIE:
POLSKA str. 98
Brunatna rzeczywistość.
Elwira Szczecian

**POZNAJ ŚWIAT
OD KUCHNI** str. 106

OUTDOOR str. 108

**POLSKA,
KTÓREJ NIE MA** str. 112



NA OKŁADCE:
ogród botaniczny
w miejscowości
Funchal, Madera

Paweł Augustyniak

POLSKA

Kamienica bogaczy

Odnowiona elewacja monumentalnej łódzkiej kamienicy przy ul. Andrzeja Struga 3 łączy style secesji i neobaroku. Dawniej w „kamienicy bogaczy” mieszkali lekarze, adwokaci, notariusze i dziennikarze. Jej stawianie rozpoczęto w 1905 r., a oddano do użytku 7 lat później. Jednak było o niej głośno wcześniej. Wszystko za sprawą katastrofy budowlanej, podczas której zawaliły się dwa piętra. Budowę rozpoczęto ponownie, według innego projektu. Tym razem kamienicę wzniesiono solidnie i do dziś jest uważana za jedną z najładniejszych w Łodzi.

www.pawelaugustyniak.pl







Valter Binotto (Włochy)

POSSAGNO, WŁOCHY

Kotki. Zielone i pyłą

Na leszczynie rosną jednocześnie kwiaty żeńskie i męskie. Każdy zielony męski kotek produkuje miliony mikroskopijnej wielkości pyłku kwiatowego. Wiatr musi przenieść przynajmniej jeden z nich na czerwony kwiatek na innym drzewie. Wczesną wiosną bogaty w białko pyłek leszczyny jest cennym źródłem pożywienia dla pszczoł.

KATEGORIA: ROŚLINY
SEKCJA: RÓŻNORODNOŚĆ ZIEMI
ZWYCIĘZCA

ZDJĘCIE I TEKST POCHODZĄ Z WYSTAWY FOTOGRAFIA DZIKIEJ PRZYRODY 2016, KTÓREJ PATRONEM MEDIALNYM JEST MIESIĘCZNIK POZNAJ ŚWIAT. W DNIACH OD 11 MAJA DO 11 CZERWCA 2017 WYSTAWA JEST PREZENTOWANA W SOPOCIE W PAŃSTWOWEJ GALERII SZTUKI PRZY PLACU ZDROJOWYM 2.

NEW FOR 2017
PARAGON & MAVEN



Ultralekki i wygodny plecak turystyczny. Innowacyjny system nośny AEROLON. System wentylacji MATRIX. Stabilny pas biodrowy zaopatrzoney w dwie kieszonki. Pokrowiec przeciwdeszczowy i plecak na akcesoria w zestawie (68L i 58L)

Zbigniew Kula

MADAGASKAR

Pilnują czy już kradną?

Hodowla bydła to jedno z ważniejszych zajęć na malgaskiej wsi. Zebu są głównym majątkiem Malgaszy. Służą jako środek transportu, opłata przy zawieraniu ślubów czy też ofiara w ceremoniach pogrzebowych. Z umiłowania do zebu słynie zwłaszcza plemię Bara. Chłopiec, aby stać się mężczyzną, musi ukraść kilka krów.



THULE
SWEDEN

➤ Perfect fit



New



Thule Capstone

Ten plecak z regulowanym systemem zawieszania i przewiewnym tylnym panelem, wyposażony w szelki i pas biodrowy zaprojektowany z myślą o kobietach, znakomicie sprawdzi się w czasie całoniedziowych wędrowek lub kilkudniowej wyprawy z niewielkim bagażem.

Bring your life
thule.com

Anita Wasik

SÃO TOMÉ, WYSPY ŚW. TOMASZA I KSIĄŻĘCA Pod żaglami Opatrzności

Kościół Ludzi Morza nad zatoką Ana Chaves to najważniejsze miejsce dla lokalnych rybaków. Obok niego są zacumowane łodzie, pracują szkutnicy, a kobiety sprzedają to, co z połowu przywieźli ich mężowie. Świątynia z profilu przypomina wygięty w łuk, pełen wiatru żagiel.

www.facebook.com/LeveLeveLove



Prześlij zdjęcie!

Zachęcamy do nadsyłania zdjęć na adres: redakcja@poznaj-swiat.pl.
W temacie e-maila należy wpisać „Fotoforum”, a w treści – imię i nazwisko autora oraz opis zdjęcia.
Minimalny rozmiar fotografii to 2 MB.

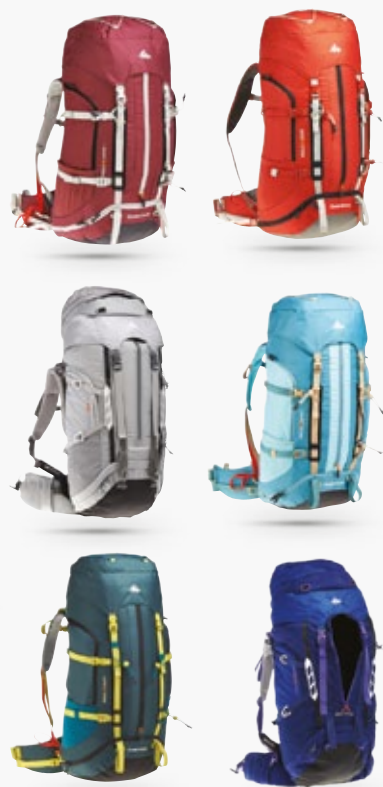


 **Quechua**

**PLECAKI FORCLAZ
EASYFIT 50-70 l**

OD 349,99ZŁ

**10 LAT
GWARANCJI**



PRODUKTY DOSTĘPNE W SKLEPACH

DECATHLON

ORAZ NA

[decathlon.pl](https://www.decathlon.pl)
KUPUJ ONLINE 



OGRÓD ATLANTYKU

Tomasz Owsiany

Wiele atrakcji i przyrodniczych skarbów skoncentrowało się w tej małej kropce. Madera z każdym piętrem pokazuje inne oblicze i zachwyca od pokoleń. Winston Churchill rozstawił tu swoje sztalugi, cesarzowa Sisi leczyła chandrę, a marszałek Piłsudski gromadził wspomnienia, które przywoływał do końca życia.

PIĘCIOGWIAZDKOWE WZGÓRZE

Odrestaurowana kapliczka nad wiekową rezydencją Quinta do Monte, zmieniona w wygodny hotel. W dole panorama liczącego 111 tys. mieszkańców Funchalu, stolicy autonomii Madery. Pięć gwiazdek należy się za same widoki.



FOT. TOMASZ OYSIANY

ZABUDOWA PIĘTROWA

Funchal widziany z morza przypomina zwartą narzutę. Na wybrzeżu wybija się charakterystyczna żółta bryła fortecy São Tiago, mieszczącej dziś Muzeum Sztuki Współczesnej.

Wczesnym rankiem w ogrodach starej posiadłości Quinta do Monte przerobionej na wygodny hotel świergocze ptasi żywioł. Na razie jest spokojnie i pustawo. W dole rozciąga się szeroka panorama Funchalu, „fenkułowego miasta”, stolicy maderskiej autonomii. Za nim – już tylko ocean, po którym wzrok może biec dziesiątki

kilometrów, po horyzont, w stronę Wysp Kanaryjskich. To dla tych widoków rankiem zaroi się na schodach sąsiedniego kościoła Nossa Senhora do Monte. Turyści wjadą na wzgórze gondolami, które zastąpiły starą kolejkę szynową. Niektórzy ambitnie wejdą pieszo. Pojawią się też pasażerowie wycieczkowca cumującego w miejskim porcie. Część odwiedzi grób Henryka I Habsburga, który dokonał tu żywota. Większość jednak przyjedzie wypróbować bodaj najbardziej oryginalny wynalazek Maderczyków: *carrinhos de cesto*.



ZJAZD PO SADLE

Carrinhos de cesto to dosłownie „wózki koszykowe”. Wiklinowe kosze z płozami, które od stu siedemdziesięciu lat zwożą ludzi w dół miasta, dostarczając przy tym sporych emocji. Sterem i siłą napędową sań są mężczyźni nazywani *carreiros*. W białych uniformach i plecionych kapeluszach z napisem „Madeira” krzątają się przy stacji początkowej. Reszta siedzi na zmianę w barze, który traktują

niemal jak pokój socjalny. Gawędzą i grzebią w telefonach. Jednak chętnych na przejażdżkę nie brakuje, więc co chwila kolejna para *carreiros* spycha sanie do wylotu Camino do Monte.

I jazda! Najpierw wzdłuż zaparkowanych aut, potem zakręt pod kątem prostym i w dół – prawie dwa kilometry. Ślizg jest zaskakująco gładki. Sanie wydają lekki szum. Czasem podskoczą lekko i głucho klepną w jezdnię. Płozy z eukaliptusowego drewna smaruje się obficie krowim sadłem. Asfalt nasycił się nim już tak bardzo, że błyszczy jak powierzchnia zjeżdżalni. To przez nie samochód wpadł w lekki poślizg, gdy piął się po zmroku niemożliwie ciasnymi i stromymi uliczkami Monte. Za dnia skrzyżowania są obstawione, ale ulica pozostaje otwarta dla samochodów. Wypadki zdarzają się rzadko.

Dwójka *carreiros* steruje intuicyjnie; synchronizują się bez słów. Czasem wystawiają stopę „na Chaplina” i zjeżdżają lekkim ukosem. Stają na końcówkach płoż, ale na znacznym odcinku napędzają sanie siłą własnych nóg. Nie trenują specjalnie. Mówią, że to dla nich normalna sprawa. Kursują w twardych, skórzanych butach podbitych grubymi podszewkami ze starych opon. Wymieniają je co dwa – trzy tygodnie. Zjazd w koszu jest wyjątkowym doświadczeniem. Ernest Hemingway też był zachwycony!



PALENIE GUMY

Mimo sporej komercji zjazd w wiklinowych koszach po stromych uliczkach dzielnicy Monte zostaje na długo w pamięci. *Carreiros* sterujący saniami hamują za pomocą stóp. W dwa – trzy tygodnie ścierają specjalną zelówkę zrobioną z opon samochodowych.



WIĘC CHODŹ, POMALUJ MÓJ ŚWIAT

Osiemnastowieczny ratusz przy Pracę do Município. Kolonialna architektura przepelnia starówkę Funchalu.

Po prawej: malowane drzwi w Funchalu i sąsiednim Machico stały się jedną z wizytówek Madery. Ten projekt artystyczny z 2010 r. miał ożywić posępniejące centrum.

SKRZYŻOWANIE ART DÉCO

Na obrzeżach starówki pełnej kolonialnej architektury stoi artdekwaska hala targowa, która od rana tętni handlowym życiem. Na wykafelkowanych ladach leżą tuńczyki i drobne ryby. Po jednej stronie kręcą się sprzedawcy w kaloszach, po drugiej – klienci i turyści, na których mało kto już zwraca uwagę. Z lad zwisają kaskady czarnych ogonów, spod których przebija białe mięso; na ich przeciwnym końcu – paszcze jak najeżone zębami sekatory i duże, szkliste oczy. Tak prezentują się *espady*, pałasze czarne. Rybi specjal Madery. Panierowane i podawane ze smażonymi bananami, uchodzą za jedno z najbardziej tradycyjnych dań regionu.



FOT. TOMASZ OWSIANY

Z halą sąsiaduje smakowity bazar owocowo-warzywny. Jest poniekąd skrzyżowaniem kilku kontynentów. W kolorowych kupkach leży więc europejska włoszczyzna i śródziemnomorskie zioła. Są powszechne w Azji słodkie bulwy i kolczochy. Są gojawy, flaszowce, awokado oraz tuzin odmian marakui rodem z Ameryki Południowej. Są też kosmopolityczni sprzedawcy bajeranci. Mówią w wielu językach, kokietują turystów i sprzedają owoce świetnej jakości za bająnskie sumy. A wystarczy odwrócić się na pięcie o sto osiemdziesiąt stopni i uśmiechnąć do starszego rolnika w kaszkiecie, który akurat ucina pogawędkę z kolegą. Odpowie uśmiechem, weźmie kilka monet i poda to samo.

A czym są podłużne owoce wyglądające jak pałki z krokodylej skóry? To peerelowski szlagier doniczkowy, filodendron. Okazuje się bardzo smaczny, jeśli tylko odpowiednio się za niego zabrać. Przede wszystkim trzeba poczekać, aż dojrzeje. Nagrodą za cierpliwość jest smaczny miąższ o smaku bananowo-ananasowym. Karą za niecierpliwość jest natomiast mocne szczypanie w język i silne klucie w podniebienie – w niedojrzałych fragmentach owocu znajduje się dużo igielkowatych kryształków szczawianu wapnia, które drażnią wszystkie napatkane błony.

ELIKSIR ZDROWIA

Naprzeciw hali, w pierzei kamienic, mieści się niepozorna Mercadora. Przypomina stary sklep kolonialny, z przeszkloną galerijką i workami, z których subiekt wydaje towary. Dziś jednak zamiast zamorskich rarytasów czekają na klientów podstawowe produkty, a zamiast subiekta – pan Antonio z małżonką, którzy od siedemnastu lat prowadzą także bar w tylnej części sklepiku. Bar najprostszy z możliwych: stołki i lada. Żadnych fajerwerków. W takie miejsca najchętniej zachodzą miejscowi po porcję *ponchy*, ulubionego eliksiru.

Pan Antonio robi go na poczekaniu. Wyciska do dzbanka dużą porcję soku z cytryny i zalewa złocistym miodem. Potem bierze do ręki drewniane mieszadło i zaczyna nim obracać jak świdrem ogniowym. Ścisłej mówiąc: obraca „pindolkciem”. Tak należy tłumaczyć portugalskie *caralhinbo*. Następnie do rozrobionej mieszanki dolewa dużo mocnego, rzemieślniczego rumu z lokalnej produkcji, a „pindolek” znów idzie w ruch. W końcu lekko spieniony poncz trafia do kieliszków. Do tego miseczka delikatnie chrupiących *tremoços*, nasion łubinu macerowanych w solance. Sama *poncha* przyjemnie rozgrzewa i rozluźnia.

– *To nasze lekarstwo na wszelkie dolegliwości* – mówi z uśmiechem Antonio. – *A to miejsce jest apteką. Z rana zachodzimy po kieliszek i wstępujemy na jednego pod koniec dnia. Dzięki niemu jest nam wszystkim lepiej.*

Z początku *poncha* miała służyć rybakom w czasie wielodniowych połowów, a marynarzom w walce ze szkorbutem. Od dawna jednak służy jednemu celowi: przyjemności.

W starych barach trafia się jeszcze na ustronne pomieszczenia, jak z czasów prohibicji, w których mężowie mogli pić bezpiecznie, z dala od ścigających żon.

MADERA, RUM I MADERA

Najważniejszy składnik *ponchy* smakuje najlepiej u źródła. Jedno z nich leży u stóp Orlej Skały, w niewielkim miasteczku Porto da Cruz na północnej stronie wyspy. Mieszcząca się tam destylarnia od dziesięcioleci produkuje

JAK PO NITCE

Setki kilometrów szlaków wzdłuż kanałów nawadniających zwanych lewadami to jeden z najlepszych sposobów odkrywania bogactwa maderskiej przyrody.





FOT. TOMASZ ONISZAK

BRĄZOWY MEDALISTA

Wysokogórski pejzaż Pico do Arieiro, trzeciego najwyższego szczytu Madery. Skaliste góry stanowią naturalną barierę, która dzieli wyspę na dwie strefy mikroklimatyczne.

rum trzcinowy tradycyjnymi metodami. Nadal jest wyposażona w maszynę z epoki rewolucji przemysłowej. Dawny duch snuje się też u sklepienia rumiarni, w opustoszałej oficynie, z której główny intendent nadzorował niegdyś zakład. Porządny rum, aprobowany przez miejscowych, ma 50-procentową zawartość alkoholu. Stary rum jest łagodniejszy. Dojrze- wa w beczkach przynajmniej sześć lat i nasyc- a się aromatem drewna, a smakiem zbliża się do dobrej whisky.

Trzcinowy alkohol jest jednak na straconej pozycji. Z Maderą będzie bowiem zawsze kojarzył się przede wszystkim jej homonim: wino. Jak wiele trunkowych receptur, także madera powstała z myślą o konserwacji na

tygodnie żeglugi. Wyspa była ważnym przystankiem w drodze do Indii Wschodnich i wiązała istotne morskie szlaki handlowe. Ponadto jako jedna z nielicznych miała prawo eksportu do kolonii brytyjskich i Ameryki. Musiano wykorzystać okazję i sprostać wyzwaniu. Zaczęto wino... ogrzewać.

Z początku madera leżakuje w temperaturze dochodzącej do 50°C. Czasem w beczkach wystawianych wprost na słońce. Proces ten karmelizuje cukry i nadaje winu barwę oraz aromat. O wytrawności płynu zdecyduje nie tylko szczep winogron, ale i moment przerwania fermentacji. Ustaje ona wraz z dodaniem brandy, od której pochodzi charakterystyczna moc trunku. Dzięki niej madera uchodzi za



wino niezniszczalne. Dowód? Pół roku temu w Londynie wystawiono na aukcji prawdziwe dinozaury: na ciemnych butelkach widniał zatarty rocznik 1715.

DROGA NA MŁYN

– *Spójrz, tamtędy biegnie lewada!* – słyszało się w głębokich dolinach i na wysokich serpentynach dróg, gdy samochód pokonywał ostrożnie zakręty. Lewady stały się jedną z wizytówek wyspy. Są to kanały irygacyjne, które dostarczają wodę z wilgotnej północy wyspy w jej suchsze, południowe rejony. Najstarsze lewady powstały jeszcze w XVI w. Dzisiaj liczą 2,5 tys. km. Prawie dwie trzecie z nich

biegnie wzdłuż szlaków, stanowiących gratkę dla piechurów. Trekkingowcy mogą wybrać sześćdziesiąt tras, które prowadzą przez pięćdziesiąt tuneli prosto na spotkanie z maderską przyrodą. Większość nie stanowi wyzwania. Z rzadka jednak wąziutka ścieżka wiedzie przy kilkusetmetrowym urwisku i wymaga skupienia. Mimo wyraźnych ostrzeżeń zdarzają się śmiertelne wypadki.

Levada do moinho nikogo nie przyprawi o zawrót głowy. Raczej przyjemnie ją odświeży. Leśna trasa wiedzie początkowo przez arkadę z jałowców cedrowych. Prowadzi do odcinka lewady, w którym strumyk płynie w naturalnym, gliniastym korycie, zmieniając się czasem w drobny wodospad. Srebrna nitka kanału

KĄPIEL W SKALE

Kręta szosa prowadząca do Porto Moniz to świetna trasa widokowa. Samo miasteczko słynie z naturalnych, skalnych basenów, powstałych nieopodal brunatnej wysepki Ilheu Mole.



FOT. TOMASZ OWSIANY

APTEKA DOROSŁEGO CZŁOWIEKA

Pan Antonio od 17 lat wprawnie miesza mocną, rumową *ponche*. Miejscowi traktują ją jak lekarstwo na wszystkie bóle, a bar – jak aptekę.

towarzyszy od tej pory do końca, przez 10 km. Z lasu wyprowadza na prześwity i słoneczne polany, żółtawe od kwitnących kolcolistów. Przy ścieżce rosną paprocie, mirty i eukaliptusy. Gdzie indziej – mimozy, bambusy i proste tyczki drzew konwaliowych, z których struga się kijki do marszu. Przy odrobinie szczęścia w pobliżu wyżynnych ścieżek natkniemy się na dziko rosnące marakuje bananowe, które kwitną jak dorodny klematis. Z ich kwiatów można wyluskać zieloną buteleczkę, w której mieści się kilka kropel słodkiego nektaru.

Levada do moinho powstała dość późno, w XIX w., i oprócz regularnego nawadniania pól zasilała również trzy prywatne młyny wodne. Ruina jednego z nich stoi do dziś na skraju cienistego wawrzynowego lasu. Wiecznie zielonego i wiecznie usianego butwiejącymi

liśćmi. To właśnie lasy laurowe, tak zwana *laurisilva*, stanowią rdzenny skarb wyspy, wpisany na listę UNESCO. I aż jedna trzecia tworzących jej gatunków to tutejsze endemity.

POJEDYNEK Z GÓRAMI

Wiele konstrukcji na Maderze świadczy o pojedynku człowieka z górami. Nie tylko lewady, wiklinowe sanie i gondole. Także dziesiątki kilometrów tuneli, estakady i kaskadowa budowa domów oraz setki tarasów, ciągnących się czasem aż do skraju urwiska. Niektóre z nich już porzucone i zarośnięte, niektóre też nadtrawione przez zeszlóroczne pożary. Najczęściej jednak pozostają bujne i zielone. To one zmieniają wyspę w wielki atlantycki ogród. Każdą przestrzeń poza

miastem nadającą się do upraw wypełniają sady i grządki. Wciskają się między domy, garaże i infrastrukturę.

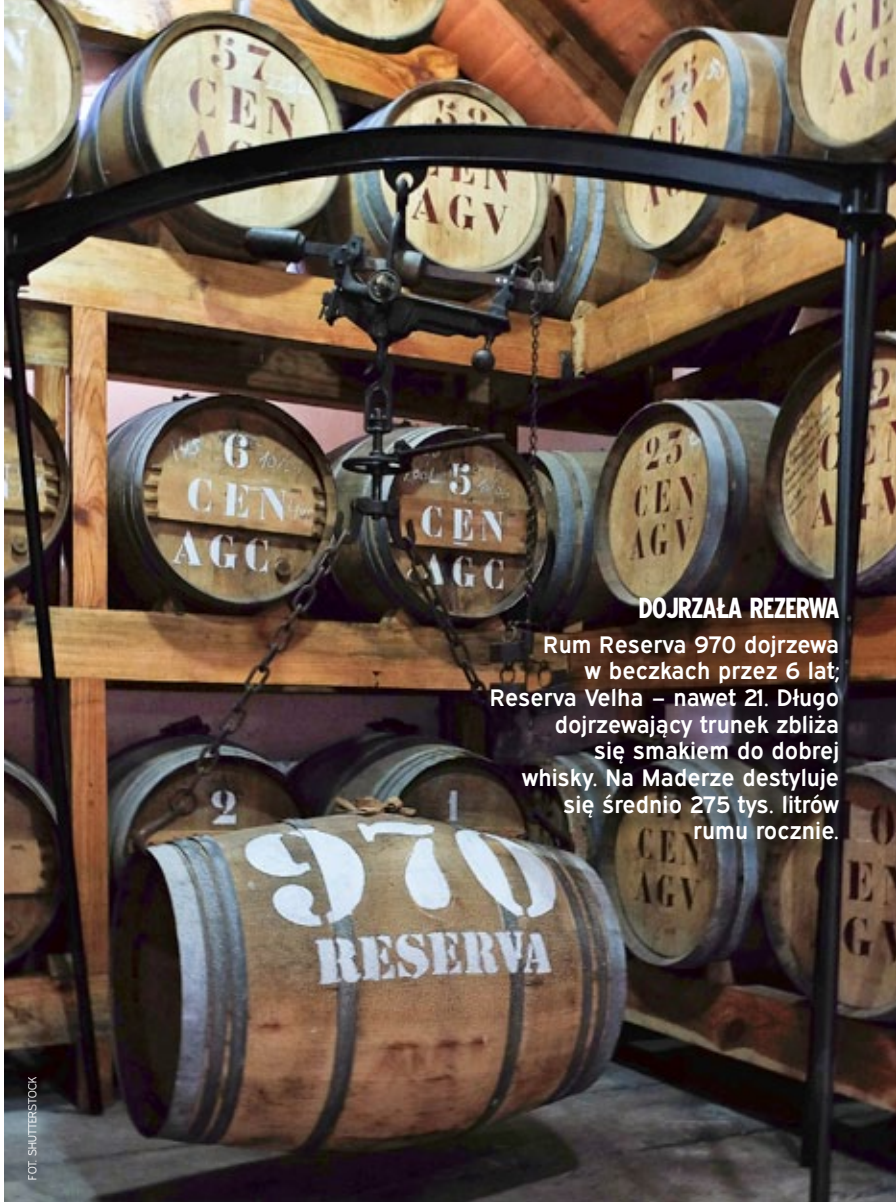
Nie inaczej w wyższych partiach wyspy. Tyle że tam życie toczy się szczególnie pocziwie. Im wyżej, tym spokojniej. Sąsiedzi sączą kawę w przysklepowej kawiarni. Ktoś piele motyką grządki pod winorośl. Starsi panowie maszerują z kijkami w rękach. Machają przyjaźnie, bo obcy nie zaglądną tam zbyt często. Młodzi z kolei coraz częściej uciekają na wybrzeże.

Najwyższy szczebel na drabinie Madery wylania się dopiero zza świerkowo-jodłowego lasu: skaliste szczyty. Piętro należące do turystów i pasterzy. Z początku szosa prowadząca na czubek wyspy znika tajemniczo w szarej wilgoci, wśród skał i karłowatej roślinności. Jednak chmury żonglują pejzażem i już po chwili ukazują łąki i połacie płowych traw – jak w jesiennych Bieszczadach. Rozległe polany, a na nich luźno rosnące paprocie i żarnowce, wrzoście drzewiaste i wysokie krzewy endemicznych borówek maderskich.

Wreszcie pojawia się sam Pico do Arieiro, brązowy medalista wśród maderskich szczytów. Mierzy niepozorne 1816 m n.p.m., ale ponieważ leży nad oceanem, wydaje się olbrzymem. Z jego szczytu rozciąga się wspaniała, wysokogórski krajobraz. Dookoła ostre granie i krawędzie biegnące setki metrów w dół ukośnymi liniami. Poniżej ciągnie się jeszcze jedna linia: pozioma i niewidzialna. Linia śniegu, który pojawia się tu w najzimniejszych momentach roku. To dlatego w rejonie szczytu wybudowano niegdyś kamienne igloo wzmacniane zaprawą – śnieżne studnie. Gromadzono w nich śnieg i lód, który następnie znoszono w skórzanych worach do hoteli i szpitali w dolinach.

NATURALNE BARIERY

– *No, śmiato!* – zachęcają jedni drugich i uśmiechają się z lekkim przekąsem. Potem patrzą, jak ich towarzysze wchodzą kroczkami na taflę szklanego tarasu. Niektórzy się cofają i walczą z lękiem wysokości. W końcu stoją na Cabo Girão, najwyższym klifie morskim Europy, i mają pod sobą 560 m przepaści. Kiedy przełamiają lęk, z reguły przyglądają się leżącym u stóp



DOJRZAŁA REZERWA

Rum Reserva 970 dojrzewa w beczkach przez 6 lat; Reserva Velha – nawet 21. Długo dojrzewający trunek zbliża się smakiem do dobrej whisky. Na Maderze destyluje się średnio 275 tys. litrów rumu rocznie.



POTWORNIE SMAKOWITY

Owoc *Monstera deliciosa*, czyli filodendronu, ze względu na smak nazywany jest ananasek bananowym. Zawiera dużą ilość drażniącego szczawianu wapnia, więc trzeba się z nim obchodzić ostrożnie.



Tomasz Owsiany

Absolwent filologii romańskiej UJ, miłośnik przyrody i przeciwnik masowej turystyki. Autor książki „Madagaskar. Tomek na Czerwonej Wyspie”, wydanej w serii „Biblioteka Poznaj Świat”. Laureat Nagrody Dziennikarzy oraz Wyróżnienia Kolosów (za rok) 2015 za wyprawę „Pod ciemną skórą Filipin”.

SANTANA POD STRZECHĄ

Trójkątne domki kryte strzechą były kiedyś domostwami wiejskiej ludności na północy Madery. Dzisiaj pełnią rolę pokazowej atrakcji turystycznej w miejscowości Santana.

klifu nadmorskim winnicom, układającym się w rozłożysty wachlarz. Reszta punktu widokowego nie budzi już takich emocji. Pozwala oprzeć się spokojnie o barierki i spoglądać w kierunku Funchalu oraz trzech Wysp Pustynnych, Ilhas Desertas, zamieszkiwanych głównie przez mniszki śródziemnomorskie, najrzadsze foki świata.

Dawniej klify zapewniały Maderze naturalną ochronę przed atakami. Łuki w skalnej barierze uzupełniano fortami, które stoją do dziś w niewielkim miasteczku Machico: trójkątny Forte de Nossa Senhora do Amparo i malowniczy szkielet fortu św. Jana Chrzciciela.

Dzisiaj skaliste wybrzeża i brak naturalnych plaż chronią Maderę przed rozrostem wielkohotelowych kurortów. Eklektyczne piękno wyspy przyciąga coraz większe rzesze ludzi. Miejsca takie jak

Porto Moniz, znane z naturalnych basenów, zmieniają się powoli w turystyczne piekielka. Wycieczkowce potrafią przywieźć 10 tys. turystów jednego dnia. Pozostaje mieć nadzieję, że urok „atlantyckiego ogrodu” nigdy nie zostanie zdeptany. ○



FOT. TOMASZ OWSIANY



FOT. SHUTTERSTOCK

WSCHODNIA SKRAJNOŚĆ

Wschodni skraj wyspy i jeszcze jedna mikrokraina: rdzawy, stepowy Półwysep św. Wawrzyńca. W zrębach czerwonych skał widać ślady kanałów, którymi wydostawała się lava – przypomnienie, że Madera powstała w wyniku wielu drobnych erupcji wulkanicznych.



SALZBURGER
LAND

SPOKOJNA i BURZLIWA



NAJSTARSZA KSIĘGA ŚWIATA

Elżbieta i Piotr Hajduk



Z KWIATKA NA KWIATEK

Długoszpón koralowy zamieszkuje porośniętą wodną roślinnością rzeki, jeziora i bagna. Porusza się po leżących na powierzchni liściach kwiatów lili. Ułatwiają mu to patykowate nogi i wydłużone palce.

Billy'ego można spotkać w Jabiru, przed tutejszym marketem. Tak jak inni miejscowi Aborygeni siedzi na trawniku i korzysta ze skąpego cienia rachitycznych drzewek. Długie, siwe włosy opadają mu na twarz, zasłaniają przygasłe spojrzenie. Ożywia się dopiero, gdy częstujemy go papierosem. Ciemną, pooraną

zmarszczkami twarz rozjaśnia skąpy uśmiech, ujmujący lat.

– *Czas Snu?* – odpowiada pytaniem na naszą nieśmiałą próbę nawiązania rozmowy. – *Wy, biali, nigdy tego nie pojmiecie.*

Billy nie szuka towarzystwa, stroni nawet od swoich. Upalne dni spędza na samotnych rozmyślaniach. Niekiedy najmuje się jako przewodnik.



FOT. ELIZBETA PROTRALADUK

W KRAINIE RÓŻAŃCOWEGO GADA

Znajdujemy się w Top End, najbardziej na północ wysuniętym skrawku kontynentu. W jego obrębie jest położony Park Narodowy Kakadu, który obejmuje dorzecza rzek South, East i West Alligator. To jeden z najzieleńszych obszarów tego pustynnego kraju, pełen bagien, mokradeł i niebezpiecznych



Kiedy kapitan James Cook zacumował swój statek na południu Australii, już od 40 tys. lat istniała tam najstarsza kultura na świecie. Wędrowne grupy aborygeńskich plemion przemierzały pustynię w poszukiwaniu żywności i wody. Tubyłcy żyli, jak nakazywało im prawo, pozostawione przez Przodków w Czasie Snu. Polowali, odprawiali ceremonie, tworzyli malowidła, aby zapewnić ciągłość wiedzy i mocy. Trwali w harmonii z ziemią, oceanem i wszechświatem.

trzęsawisk. Nawet teraz, pod koniec pory suchej, miejscami zieleni się trawa. Za miesiąc spadną pierwsze deszcze i ogromne połacie ziemi znajdą się pod wodą. Ostrzegają przed tym poustawiane na poboczu czterokątne znaki z napisem „floodway”.

Monotonie płaskiego, nizinnego krajobrazu urozmaicają rzeki pełne krokodyli różańcowych. Niektóre samce osiągają ponad



OD GAGUDJU DO KAKADU

Chroniący rozległe mokradła rezerwat Kakadu pozostaje także domem rdzennych mieszkańców tych ziem. Wciąż żyje tu aborygeńskie plemię Gagudju, od którego prawdopodobnie park wzięł swoją nazwę.

sześć metrów długości. Nic dziwnego, że mogą zaatakować każdego intruza, który naruszy ich terytorium. Ogromne gady doskonale czują się w wodach zarówno słonych, jak i słodkich. Na ofiary czatują najczęściej niedaleko brzegu, wybierają uczęszczane miejsca, jak wodopoje czy brody. O powadze problemu świadczą liczne tablice przestrzegające przed lekkomyślnym zbliżaniem się do wody. Aby bezpiecznie zobaczyć krokodyla, lepiej wybrać się do któregoś z tutejszych farm tych zwierząt lub wykupić rejs po rzece.

Poranny Yellow Water Cruise po rozlewiskach rzeki South Alligator rozpoczyna się bardzo wcześnie. Później przybrzeżne życie kryje się w cieniu przed upalnym australijskim słońcem.

– *Nie wystawiajcie rąk za burtę* – ostrzega Rick, kapitan naszej

łódki. – *Uważajcie zwłaszcza przy robieniu zdjęć. Krokodyle potrafią wyskoczyć nawet cztery metry ponad powierzchnię. Zdarzały się już takie wypadki.* Jakby na potwierdzenie tych słów ze spokojnej toni wynurza się nieoczekiwanie nieruchome bursztynowe oko. Ale groźny gad przepływa obok, nie zwraca na nas większej uwagi. Śledzimy go wzrokiem, dopóki nie znikną w przybrzeżnych trzcinach.

Tutejsze mokradła to nie tylko królestwo krokodyli, lecz także ptasi raj. Spędzamy długie minuty przy węzówce, która przysiadła na kłodzie i suszy skrzydła, a następnie na obserwacji samotnej białej czapli. Malownicze brzegi porośnięte są bujną, wodną roślinnością. Urokliwe różowe kwiaty lilii wystają z gąszczu płaskich liści. Przechadza się po nich długoszon koralowy, nieduży ptak o nieproporcjonalnie długich palcach. Dwa orły na wysokim, suchym drzewie wzbudzają prawdziwy entuzjizm Ricka. – *Są bardzo rzadkie. Macie niezwykle szczęście* – zapewnia nas gorliwie.

Miejsce jest piękne, aczkolwiek więcej skrzydlatych zdarza nam się oglądać w naszej rodzimej Dolinie Baryczy. Po dwóch





FOT. ELZBETA PIOTR HAŁBUK

PRZED OBIADEM

Bieliki białobrzuche lustrują okolicę z wysokości w poszukiwaniu zdobyczy. Żywią się ptakami, gadami, rybami i drobnymi ssakami, jak króliki czy walabie.



FOT. ELZBETA PIOTR HAŁBUK

godzinach rejsu zaczyna doskwierać upał. Z ulgą schodzimy ze statku.

ŚWIAT KAKADU

Na szczęście Kakadu ma do zaoferowania więcej atrakcji. Ten największy z parków narodowych Australii zajmuje blisko 20 tys. km², więc każdy znajdzie coś dla siebie. Rozsiane po całym terenie szlaki piesze kuszą niezwykle widokami. Poszczególne regiony łączy sieć dróg, dlatego dobrze jest tu mieć samochód. Jednak przed wyruszeniem na wycieczkę warto sprawdzić, czy wybrana trasa nie jest przypadkiem okresowo zamknięta. Informują o tym stosowne tablice i raporty zamieszczane w internecie.

Park słynie z widowiskowych wodospadów. W porze deszczowej spienione wody spadają z hukiem do urokliwych jezior, które odbijają szmaragdowy błękit nieba. Dzisiaj kaskady są jedynie cieniem swojej potęgi, sączą się cienkimi strugami z pomarańczowych skał. Za to niektóre można teraz odwiedzić. Po opadach droga do wodospadu Jim Jim zamienia się już w rwącą rzekę.

Z gałęzi spogląda na nas duży biały ptak z kępką żółtych piór na głowie. Kakadu żółtoczube są tutaj stosunkowo liczne. Całe stadko buszuje w rzadkiej ściółce, szuka nasion i drobnych owoców. Skrzekliwy harmider dobiegający z wysokich drzew każe podnieść głowy. Na eukaliptusach rosnących nad wodą gęsto siedzą owocożerne nietoperze. Zwisają z gałęzi niczym duże czarne parasole. Ich błoniaste skrzydła mają w sobie coś złowrogiego. Mijamy je pośpiesznie, depcząc po ogromnych płatach suchej kory. Eukaliptusy nie zrzucają liści, lecz właśnie korę, która odpada i odsłania nagi pień. Kruche gałęzie drzew stanowią pewne niebezpieczeństwo – odłamują się nieoczekiwanie. Za to świetnie nadają się na rozpałkę.

Na kempingu Merl nie ma prądu. Jedyna latarnia na energię słoneczną oświetla drogę do sanitariatów. Nie ma także recepcji. Opłatę za nocleg wrzuca się do skrzyneczki ustawionej przy drodze wyjazdowej. Jest natomiast miejsce na palenisko oraz to, co najważniejsze – piękno australijskiego buszu.

OPOWIEM WAM HISTORIĘ

Biali strażnicy parku z pasją opowiadają dzieje kraju, który nie był ich. Prawdziwi tubylcy o historii swojej ziemi nie chcą mówić nic.

ABORYGEN NA SWOIM

Od wschodu z parkiem Kakadu graniczy tajemnicza i niedostępna Ziemia Arnhem. To obszar, który należy wyłącznie do Aborygenów. Aby tam wjechać, inni muszą mieć specjalne zezwolenie.

Patrzymy w ogień i przegryzamy niesmaczne herbatniki z marketu. Wokół pusto, niewielu turystów korzysta ze skromnych udogodnień kempingu. Pomarańczowe płomyki rzucają kapryśne błyski na okoliczne zarośla. W podmuchach wiatru gałęzie drzew chwieją się zwodniczo, ich ruchome cienie tańczą po trawie. Nie, to nie tylko cienie... Wyteżamy wzrok, spoglądamy w ciemność, z której wyłania się trójkątny pyszczek. W świetle ogniska błyszczą okrągłe, czarne oczka. Zwierzątko przygląda nam się z ciekawością i bez strachu. Próbujemy zanęcić je ciastkami. Niewielki kangur podchodzi trochę nieufnie,

porusza się zgrabnymi skokami. Chętnie zajada herbatniki.

WYDARZENIA Z CZASU SNU

Przyroda parku jest bardzo ciekawa, lecz nie tylko dla niej przyjeżdżają turyści. Na pobliskich skałach zachowały się malowidła dawnych mieszkańców tych ziem, jedne z najpiękniejszych w Australii. Ubirr to miejsce niezwykle. Dla Aborygenów święte. Ich legendy mówią, że ziemia istniała od zawsze, lecz dopiero gdy nastał Czas Snu, została ostatecznie uformowana. Dokonali tego Przodkowie,



ktorzy przemierzając ląd, kształtowali jego krajobraz. To oni powołali do istnienia góry, rzeki, doliny oraz dali początek żywym stworzeniom. Ukończywszy pracę, odeszli lub wtopili się w krajobraz i pozostali na ziemi pod postacią zwierząt, roślin i skał.

Droga do naskalnych galerii wiedzie przez rzadki busz. Okolica emanuje niezwykłą energią. Uroczysty nastrój burzą tylko muchy, które występują tu w ogromnych ilościach, jakby broniły dostępu do czarodziejskiej krainy. Ta stara plemienna ziemia, niegdyś zagarnięta przez białych, dzisiaj znowu należy do Aborygenów. Jest ich świętym dziedzictwem.

Tutaj pozostawili ślady wędrujący Przodkowie. Niestety, my nie odnajdziemy ich ścieżek, nie mamy mapy...

– *Mapą są pieśni* – wyjaśnia Billy, który towarzyszy nam w drodze. – *Przodkowie układali je na swoich drogach, gdy szli. Przetrwały do dziś i noszą nazwę Ścieżek Śpiewu.*

Rzeczywiście, Aborygeni potrafią przewędrować setki kilometrów po nieznanym sobie obszarach kontynentu i zawsze odnajdują właściwą drogę, a do celu prowadzi ich śpiew.

Stajemy przed pionową skałą i przypatrujemy się malowidłom. Miejscowe plemiona nigdy nie stworzyły pisma. Ich tradycja

TWARDY ZAPIS

Aborygeni nigdy nie stworzyli pisma. To naskalne rysunki stanowią swoisty zapis ich dziejów i wierzeń. Młodym zastępują elementarz, a dla starszych są przewodnikiem i biblią.



FOT. ELZBIETA I PIOTR HALDUK



FOT. ELZBIETA I PIOTR HALDUK



FOT. ELZBIETA I PIOTR HALDUK



FOT. SHUTTERSTOCK

JIM JIM – PLUM, PLUM

Wodospad Jim Jim nawet w porze suchej urzeka urodą. Po deszczach jednak nie przyjmuje gości – prowadząca do kaskady droga zamienia się wówczas w rwącą rzekę.

jest przekazywana z pokolenia na pokolenie w pieśniach i opowieściach. Te rysunki to swoista książka, jedyny namacalny ślad przeszłości. Są raczej proste. Kolorowe kreski układają się w wyobrażenie postaci lub zwierzęcia. Dominują kolory: czarny, biały, żółty i brunatny. To święte barwy, a każda ma inne znaczenie. W milczeniu idziemy wzdłuż galerii, próbujemy zrozumieć sens przekazu sprzed tysięcy lat. Oglądamy ryby, walabie, żółwie. Podziwiamy proste, pątykowane sylwetki ludzkie, wyobrażenia duchów i wizerunki bóstw. Zatrzymujemy się przed symbolicznym obrazem Tęczowego Węża, jednego z potężnych Przodków.

Licząca tysiące lat mitologia Aborygenów jest bardzo skomplikowana. Ich tajemniczy mityczny świat zamieszkują nie tylko Przodkowie Stworzyciele, ale także inne istoty nadprzyrodzone. W sąsiedniej naskalnej galerii Nourlangie oglądamy lśniący wizerunek Nabalwinjbulwinj – niebezpiecznego ducha, który według podań zjada kobiety. Nieco

dalej podziwiamy Namarrgon – wyobrażenie Człowieka Błyskawicy.

Nourlangie Rock to kolejne magiczne miejsce. Niesamowita skała z czerwonego piaskowca, pokryta imponującymi malowidłami, przez wieki służyła tubylcom jako schronienie. Billy odsuwa się na bok, kiedy Daniel, miejscowy strażnik, wyjaśnia twórczość jego ludu z perspektywy białego człowieka.

– *Do zrozumienia tych obrazów trzeba dorosnąć – tłumaczy cierpliwie. – Malowidło to nie sztuka, ale rodzaj komunikacji. W kulturze Aborygenów ich symbolikę starsi przekazywali młodemu pokoleniu etapami – tak jak stopniowo wprowadza się w świat każde dziecko. Nie zaczynasz przecież wychowania od objaśniania zawitości polityki, tylko mówisz synowi: uważaj na krokodyle, bo są niebezpieczne... To pierwszy przekaz, a dopiero potem przychodzą kolejne.*

W miarę dorastania młodzi przechodzili na wyższy poziom interpretacji. Wtedy w tym samym rysunku dostrzegali więcej

treści. Aż w końcu, po upływie lat, jako już dojrzały mężczyźni potrafili pojąć pełne znaczenie malowidła.

Stoimy na wąskiej ścieżce, u podnóża czerwonej skały. Po pionowej ścianie biegają zwinne, małe jaszczurki. Wokół szumi suchy australijski busz. – *My, biali, jesteśmy w tej chwili na etapie małego dziecka – ciągnie strażnik. – Patrzymy na rysunek i widzimy na przykład kangura. Nie potrafimy dostrzec głębi tego przekazu, właściwy sens jest ukryty przed naszymi oczami.*

Na twarzy Billy'ego gości nikły uśmiech. Jego prawda jest zapewne inna, lecz nie zdradzi nam prawdziwego znaczenia malowideł. To tabu Aborygenów, ostatnia rzecz należąca tylko do nich. Dla nas rysunek kangura to po prostu wizerunek zwierzęcia. Dla nich ten sam obrazek oznacza o wiele więcej. Może to Przodek, Człowiek Kangur, który niegdyś odpoczywał w tym miejscu i tutaj nawiązuje się z nim kontakt? Wszak wydarzenia z Czasu Snu wciąż trwają, w trudnym dla nas do pojęcia świecie równoległym. Przecież patykowate postacie to podobno duchy Mimi, kapryśne i niebezpieczne. Aborygeni wierzą, że wciąż mieszkają w tutejszych skałach...

– *Kiedy umiera człowiek – szepce Billy za naszymi plecami – jego dusza powraca do Przodków, ale jej ślad pozostaje w skałe. Malowidło to dusza...*

O zachodzie słońca docieramy do punktu widokowego. Przed nami rozciąga się tajemnicza i niedostępna Ziemia Arnhem, która należy wyłącznie do Aborygenów. Aby tu się dostać, jest potrzebne specjalne zezwolenie. To jeden z nielicznych bastionów mieszkańców tych ziem. Tu wciąż zachowali tradycyjny



OPAL TRAVEL
BIURO PODRÓŻY

✿ WYPRAWY W KAMERALNYCH GRUPACH ✿ WYPRAWY SZYTE NA MIARĘ
PODRÓŻE DLA KONESERÓW ✿ WYPOCZYNEK ✿ INCENTIVE

ODWIEDŹ NASZĄ NOWĄ STRONĘ: www.opaltravel.pl

OPAL TRAVEL ul. Karmelicka 19, 00-168 Warszawa, tel. (22) 636 93 99, (22) 636 94 32, +48 662 257 618

R E K L A M A

sposób życia, tak różny od tego, jaki ich pobratymcy wiodą w świecie białych, gdzie dominuje betonowy świat banków, supermarketów, pieniędzy i samochodów. Tam, po zderzeniu z cywilizacją, świat tubylców już dawno rozpadł się na kawałki. ○



Elżbieta i Piotr Hajduk

Ona historyk, humanista.
On inżynier, umysł ścisły.
Zjeździli razem pół globu.
On w podróżach szuka mocnych wrażeń, ona – urody świata.
I każde znajduje to, co lubi.

POZORY MYŁĄ

Zimny wzrok krokodyla nie należy do przyjaznych. Choć zwierzę wydaje się nie zwracać na nic uwagi, jego atak bywa błyskawiczny.

FOT. ELŻBIETA I PIOTR HAJDUK



GWIAZDY NAD ZATOKĄ ŻÓŁWI

Elżbieta Pawełek

„Nie wiem, jak to wytłumaczyć, ale w nocy widzi się w Afryce dalej niż w innych miejscach. A gwiazdy świecą tu jaśniej” – mówiła zakochana w Kenii Karen Blixen. Pierwsze kroki postawiła na tutejszym srebrnym wybrzeżu. Nas uwiodły rajskie plaże nad Oceanem Indyjskim, spokojne oazy w cieniu palm kokosowych, średniowieczne skarby. Znać taką Kenię?







FOT. ELŻBIETA PAWELEK

DZIKA PLAŻA POŚRÓD DRZEW

Turyści przyjeżdżają tu, aby nurkować na rafach koralowych, łowić ryby na otwartym morzu i wylegiwać się na pięknych, wciąż niezatłoczonych plażach.

Im dłużej tu przebywamy, tym lepiej rozumiemy, co miała na myśli autorka słynnego „Pożegnania z Afryką”. Przyzwyczajeni do życia w pędzie, z niedowierzaniem słyszymy co chwilę: *pole, pole* (powoli, powoli), wypowiadane jak mantra przez Kenijczyków. Czas płynie wolno, odmierzany jedynie wschodami i zachodami słońca...

Na lotnisku w Mombasie okazuje się, że nasz bagaż nie doleciał. – *Hakuna matata, nie ma sprawy* – powiedział urzędnik. – *Znajdzie się*. I się znalazł po dwóch dniach, dostarczony prosto do naszego hotelu. Kenijskie drogi okazały się pełne strasznych dziur, wybojów

i ciężarówek blokujących przejazd. – *Hakuna matata, dojedziemy* – za każdym razem mówił Julius, nasz kierowca. Dojechaliliśmy. Nawiasem mówiąc, droga w języku suahili to *bara bara*.

MIESZKAĆ JAK ROBINSON

Wreszcie wybrzeże... Nasz ośrodek Delta Dunes leży na ogromnych wydmach, z cudownym widokiem na Ocean Indyjski z jednej strony i na ujście potężnej rzeki Tana – z drugiej. To raj w porównaniu z tym wszystkim, co widzieliśmy w biednych wioskach. Chociaż uchodzi za dzikie miejsce nad morzem.

ZAMIAST FOTOTAPETY

W ośrodku Delta Dunes przewiewne domki kryte strzechą nie mają ścian ani okien, ale za to zapewniają bliskość natury i cudowne widoki.



FOT. ELŻBIETA PAWELEK

Kilka domków w stylu Robinsona Crusoe, krytych strzechą, zrobionych z korzeni i naturalnych materiałów, bez drzwi i okien, nie zapowiada luksusów. Ale w środku mamy elektryczność przez całą dobę, na górnym poziomie sypialnię z ogromnym łóżkiem zakrytym moskitierą i widokiem na ocean, na dolnym zaś – przestronną łazienkę i prysznic... pod gołym niebem.

Krążymy między recepcją a naszym „zakwaterowaniem” na szczycie wydmy, jakieś „trzy piętra wyżej”, za każdym razem pokonujemy dziesiątki kamiennych schodków. Na koniec opadamy bez sił w wygodnych fotelach na werandzie. Trudno zasnąć. Słychać szum oceanu, który wściekle wali w nabrzeże, aż wszystko drży. Za to rano budzi nas słońce, jakby przeproszało za trudy nocy. Z naszego domku po horyzont widać spokojne morze, okolone przez wydmy i pustą plażę. Dla takich widoków warto żyć.

Kenijskie wybrzeże uchodzi za jedno z najpiękniejszych w Afryce. To szeroki pas srebrzystych piasków, które ciągną się na przestrzeni prawie 500 km. Można tu nurkować i pływać bezpiecznie – rafa koralowa jest naturalną ochroną przed rekinami.

W Delta Dunes próbujemy całkiem nowych sportów – żeglowania po piasku. Świetna zabawa. Czasem pod nogami płaczą się piaskowe dolary – ozdobne muszle kruche jak porcelana. Uważamy więc, żeby na nic nie nadepnąć. Wieczorem zaś wyruszamy na



FOT. ELIZBETA PAMELEK

SMALL BUSINESS

Niegdyś na wybrzeżu handlowano kością słoniową, przyprawami, później też niewolnikami. Dziś sprzedawcy oferują turystom niedrogie lokalne wyroby.

rejs łodzią po rozlewisku rzeki Tana, której bagienne tereny przyciągają hipopotamy i krokodyle. Ale choć wyteżamy wzrok, aż prawie dostajemy wytrzeszczu oczu, nie udaje się nam wypatrzeć nic oprócz kilku łodzi z rybakami. Podziwiamy za to niezwykle spektakl natury, kiedy zachodzi słońce i oblewa rzekę czerwoną poświatą.

Niezwykła jest też kolacja pod gwiazdami z harcującą na drzewie *bush baby*, sympatyczną małpką. Na stole lądują dorodne krewetki

ŻEGLUGA LĄDOWA

W Kenii można też pożeglować na piachu. Podczas porywistych wiatrów osiąga się spore prędkości.



FOT. ELIZBETA PAMELEK



FOT. MAKE IT KENYA

UWAŻAJ NA ŚMIECIOWE JEDZENIE

Morskie żółwie dożywają nawet 150 lat, jeśli nie zostaną zaatakowane przez rekiny lub nie zginą od zanieczyszczeń po zjedzeniu plastikowych odpadów.

i świeżo złowione ryby, tak sprawione przez Jimmy'ego, naszego zdolnego kucharza, że można poczuć niebo w gębie.

Trudno byłoby utrzymać ośrodek bez pomocy lokalnych plemion Orma i Pokomo. Orma to pasterze, których życie upływa w podróży podczas wypasu bydła. Pokomo to rybacy i rolnicy, którzy żyją z upraw mango i bananów. Ich kobiety potrafią wyczarować wspaniałe rzeczy z liści palmowych, co możemy zobaczyć następnego dnia w ich wioskach.

SPOTKANIE Z BIG MAMĄ

Na wybrzeżu, które ciągnie się od Lamu po rajskie plaże na południe od Mombasy, niczym

grzyby po deszczu wyrastają miasteczka. Biznes turystyczny wyczuł tu pieniądze. Watamu było niegdyś spokojną wioską rybacką w Zatoce Żółwi. Dziś to kurort, który chlubi się białymi plażami i jedną z najpiękniejszych raf koralowych w Kenii (10 km² powierzchni), będącą rajem dla ryb. W ofercie: wycieczki łodziami ze szklanym dnem, pływanie w masce i nurkowanie czy połów ryb na otwartym morzu w stylu Hemingwaya. A hotele, na czele z czterogwiazdkową Madiną Palms, potrafią zaspokoić gusta najwybredniejszych gości. Sterylnie czyste pokoje, świetna kuchnia i szumiące za oknem morze... Można się od tego uzależnić.

Najpierw jednak zwiedzamy Watamu, które ma najstarszy chroniony park morski.

NADOBNE PASAŻERKI

W Kenii występuje ponad tysiąc gatunków ptaków (na zdjęciu czaple nadobne), które najchętniej gromadzą się przy zbiornikach wodnych, gdzie mogą łatwiej zdobyć pożywienie.



FOT. AFRICANWECASARA.BE.COM



– Do ludzi zaczyna docierać, że trzeba dbać o środowisko naturalne – mówi Ruth Karisa z National Marine Protected Areas. Specjalny program pozwala już monitorować plaże i oczyszczać je ze śmieci. Z plastikowych odpadów powstają torebki, naszyjniki i bransoletki, które można nabyć na miejscu w sklepiku. Niestety, ceny po 15 dolarów za sztukę niespecjalnie zachęcają do zakupów.

Zaglądamy też do centrum rehabilitacji żółwi, gdzie Big Mama, chora 50-letnia żółwica, przechodzi właśnie kwarantannę. Żółwie morskie dożywają nawet 150 lat, jeśli nie zostaną zaatakowane przez rekiny lub nie zginą od zanieczyszczeń po zjedzeniu plastikowych odpadów. Ale i z nimi zaczyna się

walczyć – po sąsiedzku działa prężny ośrodek recyklingu, który przerabia plastikowe butelki. Z części, po wypełnieniu ich ziemią, buduje się już domy.

SEKRETY PAŁACU SUŁTANA

Perłą w koronie wybrzeża jest Gedi. Ruiny tego dobrze zachowanego arabskiego miasta z przełomu XIII i XIV w., skryte w gęstym lesie tropikalnym, odnajdujemy w połowie drogi między Watamu i Malindi. To dziś jedna z większych zagadek Kenii. Nie wiadomo, jakim cudem na tym zacofanym kontynencie działało silnie rozwinięte miasto z ulicami, imponującym meczetem i bieżącą wodą.

WROTA TAJEMNIC

Ruiny Gedi, arabskiego miasta zamieszkanego od XIII do XVII w., należą do największych zagadek Kenii. Odkryto tu resztki Wielkiego Meczetu, Pałacu Sułtana, Domu ze Skrzynią z Kości Stoniowej i wiele innych cennych znalezisk.



KOLOROWE PANIE DOMU

W kraju żyje ponad 40 plemion. Kenijskie kobiety zwykle zajmują się dziećmi, domem i noszeniem wody z pobliskich rzek i jezior.



HAKUNA MATATA

Luksusowe hotele nad oceanem, zacienione palmami jak Medina Palms w Watamu, czekają na zagranicznych gości.

Do dzisiaj ocalały resztki Wielkiego Meczetu, Pałacu Sultana, Domu ze Skrzynią z Kości Słoniowej czy Domu Chińskich Pieniędzy (nazwa od znalezionych tam eksponatów). Archeolodzy odkryli tu chińskie wazy z dynastii Ming i szkło weneckie, świadczące o handlowych związkach z innymi miastami. Może więc czas skorygować twierdzenie, że w okresie przedkolonialnym Afryka pozostawała daleko za resztą świata?

Krążymy pomiędzy ruinami, podziwiamy strzeliste baobaby oplecione lianami. To niemi świadkowie burzliwej historii. Wiemy już, że zanim odkryto i zbadano wnętrza Czarnego Łądu, na wybrzeżu Afryki Wschodniej pojawili się Arabowie, Turcy, Hindusi, nawet Chińczycy – żeglarze Orientu. – *Spodobało im się tutaj, więc zostali, wzięli sobie miejscowe kobiety za żony i zapoczątkowali cywilizację*

Suahili, należąca do najstarszych w Afryce. Sama nazwa Suahili pochodzi od arabskiego słowa sahel, oznaczającego wybrzeże – mówi Josephine, nasza przewodniczka.

Pierwsi kupcy arabscy i perscy przyplęli tu pod żaglami na swoich łodziach *dhow*, pchanych do Afryki przez monsunowe wiatry. I przynieśli nową religię – islam, a także edukację i miejski styl życia. W XIV w. dla Suahili nastąpiła złota era. Handlowano z Arabią, Indiami i Chinami, aby nabyć szkło, porcelanę i piękne tkaniny.

W KRÓLESTWIE MALINDI

Gdy patrzy się na spokojne wybrzeże grzejące się w słońcu tropiku, trudno sobie wyobrazić, że kiedyś toczono tu krwawe bitwy o strategiczne porty. Że było to miejsce, na którym



FOT. ELŻBIETA PAWELEK

Radio Gdańsk



**Audycja dla ludzi ciekawych świata.
W każdą sobotę od 9:00 do 12:00.**

ODKRYJ W SOBIE PODRÓŻNIKA

R E K L A M A

przecinały się wielkie szlaki handlowe. Kupcy rozkładali tu swoje worki z przyprawami, bele jedwabiu, szkatułki ze szlachetnymi kamieniami. Rozparci na miękkich matach *mkeka* i perskich dywanach, godzinami dobijali targów. Kupowali kość słoniową, rogi nosorożców, ziarno sezamu, skorupy żółwi szylkretowych. Później też niewolników.

Król Malindi, jednego z największych średniowiecznych państw-miast na wybrzeżu Kenii, nawiązał stosunki dyplomatyczne z Chinami. – *Podarował chińskiemu dworowi żyrafę, która tak się spodobała, że została symbolem Doskonałej Cnoty, Doskonałego Rządu i Doskonałej Harmonii* – śmieje się Josephine. Do Malindi w 1498 r. zawitał też słynny podróżnik Vasco da Gama. A już rok później założono tu pierwszą portugalską placówkę handlową.

Dzisiaj Malindi jest kurortem opanowanym przez Włochów. Najlepszą pizzę w mieście można zjeść u Maria. Wprawdzie trochę się czeka, ale warto. Najlepsza dyskoteka? Też u niego, choć zabawa rozkręca się koło północy. Na parkiecie czarnoskóre piękności w strojach topowych marek, pachnące Guerlainem i Chanel. Zakochani robią selfie przy „Forever My Darling” Presleya. W barze drinki z palemkami, whisky i nasze ulubione piwo Tusker ze słoniem na etykiecie.

Sto kilometrów stąd na południe, w Mombasie, pierwsze kroki na afrykańskiej ziemi postawiła Karen Blixen, gdy wyszła za mąż za szwedzkiego arystokratę Brora Blixena. Życie było wtedy surowsze, słońce na wybrzeżu paliło niemiłosiernie, ale gwiazdy... No cóż, świecą tutaj inaczej niż w całym świecie. Wciąż z tą samą zadziwiającą mocą. ○



Elżbieta Pawelek

Dziennikarka, narciarka, żeglarka i podróżniczka. Pływała katamaranem na Karaibach, leciała balonem w Afryce, podglądała rekiny na Bora Bora. Do Afryki ma słabość i zawsze chętnie tam wraca.



Karakalpacja (Karakalpakstan) jest największym regionem Uzbekistanu, który dodatkowo ma status autonomicznej republiki. Zajmuje obszar jednej trzeciej kraju, a zamieszkuje go 1,3 mln osób, czyli 5 proc. ludności Uzbekistanu. Niedogodne warunki przyrodnicze ograniczają zakładanie osiedli, więc młodzież i ludzie wykształceni wolą mieszkać i pracować na bogatym wschodzie. Przez nawadnianie za czasów



Radostaw Kozuszek

KRAJOBRAZ PO BAWELNIE

Na każdym kroku w Karakałpacji widać propagandę proubecką. Na lampach i parkanach porozwieszane są tablice, które nakłaniają do owocnej pracy, miłości do ojczyzny, a nawet – swojego sąsiada. Na jednym plakacie gołębek pokoju, na drugim – wesoła Uzbeczka z wiązką bawełny. Wszystko jak za dawnych lat złotego Sojuszu.

ZSRR pól uprawnych środkowego Uzbekistanu pozbawiono mieszkańców dostępu do Jeziora Aralskiego, które najzwyczajniej wyschło. Dziś pejzaż Karakałpacji stanowi głównie słońca pustynia, usiana jednak skarbami przeszłości.

POLACY I KARAKAŁPACY

Stalinowski podział Azji Środkowej umieścił od 1936 r. Karakałpaków w Uzbbeckiej SRR.

Od 1991 r. wraz z Uzbekami żyją już w jednym niepodległym państwie. Mimo to czasy Związku Radzieckiego są tu wspomniane z leżką w oku. ZSRR budował szkoły, drogi, kanały, fabryki, teatry i opery. Wprowadził elektryfikację kraju i skanalizował miasta, a w Taszkencie pobudował jedyne w Azji Centralnej metro.

Na ulicach jest tu niezwykle bezpiecznie. Nawet po zmroku. Kiedyś zmorą turystów

STARA FORTECA

Pustynny krajobraz Karakałpacji zdobią pozostałości dawnych zamków zbudowanych z gliny. Na zdjęciu fragment najokazalszego z nich – Toprak Kala.



ZOSTAŁO PO ARALU

W miejscu dawnego jeziora znajduje się bardzo nieprzyjemna pustynia, na której unoszone przez wiatr drobinki soli morskiej drażnią oczy, błony śluzowe oraz płuca. Złowieszczęści krajobrazowi dodają wraki porzuconych statków.

były powszechne haracze na drogach i punktach kontrolnych. Teraz policja podchodzi do turystów pobłażliwie, niemal opiekuńczo. Osławione łapówki przy bramkach odeszły w zapomnienie.

Karakałpacy o Polakach wyrażają się bardzo dobrze, niektórzy nawet uważają, że Polska z niesamowitą radością współtworzyła Związek Radziecki. Prawie każdy napotkany Karakałpak twierdzi, że albo był w Polsce osobiście, albo byli jego znajomi. Zapytany o cel wizyty w tak odległym kraju, odpowiada, że robił u nas interesy. Po kilku dalszych zdaniach wiadomo, że chodzi o handel obwoźny, jakim w latach 90. trudnili się mieszkańcy byłego Związku Radzieckiego. Dla wielu współczesna Polska jest wielką zagadką, która powoli jednak jest odkrywana. Coraz większa liczba polskich turystów

wskazuje, że Polakom musi się powodzić nieźle. Telewizje satelitarne pokazują nasz kraj jako nowoczesny i szybko się rozwijający. Poza tym w Karakałpacji chętnie oglądają polskie stacje muzyczne, w których można zobaczyć nie tylko sceniczny blichtr, ale i zamożność widowni.

SKACZĄCA RYBA JUŻ NIĘ SKACZE

Poaralska pustynia jest ogromna i płaska, czasami tylko przy dawnych brzegach pozostały klify i głęboko wcinające się zatoki. Widać też, jak klif pod wpływem erozji łamie się i spada. Jedyne, co tutaj zmieniło się na korzyść, to łatwiejszy dostęp do złóż ropy pod dawnym morzem.

Znajduje się tu jedno z najbardziej wymownych i tragicznych miast Azji Środkowej – Mo‘ynoq. Jeszcze 40 lat temu było ono znaczącym portem Jeziora Aralskiego. Niestety, miasto podupało w związku z katastrofą ekologiczną. Działał tu m.in. wielki zakład przetwórstwa rybnego, główne miejsce pracy w regionie. Spośród wytwarzanych rocznie 20 mln puszek konserw wiele eksportowano do innych republik ZSRR. Jeszcze w połowie XX w. nieopodal Mo‘ynoq rosły lasy.

Dzisiaj to niewielkie miasto (około 2 tys. mieszkańców), położone 210 km na północny zachód od Nukusu, stolicy autonomicznej republiki Karakałpakstanu. Smutne i zakurzone, z opuszczonymi zakładami, pustymi sklepami i domami. Warto przy tym zaznaczyć, że po dziś dzień w herbie Mo‘ynoq widnieje... skacząca ryba.

Na obrzeżach, w dawnej niecce jeziora, zgromadzono kilka przerdzewiających wraków i trzy tablice pokazujące, jak zmieniała się powierzchnia zbiornika aralskiego. Można także przeczytać o skali zniszczeń, ale nie o tym, co je wywołało. Propaganda radziecka unikała mówienia, że zniszczeń tych dokonali pleniści, którzy chcieli z Uzbekistanu uczynić bawełnianą potęgę świata i w tym celu postanowili wykorzystać wodę zasilającą Jezioro Aralskie. Dziś mimo niepodległości Uzbekistanu pomija się nadal tę znaczącą kwestię, ponieważ zbiór bawełny dostarcza jeszcze krajowi pewnych dochodów.

Ze wzgórz z owymi tablicami rozciąga się niesamowity widok na pustynię, która kilkadziesiąt lat temu była wielkim słonym jeziorem. Na dnie można znaleźć liczne (w zasadzie już „zabytkowe”) śmieci, które wyrzucano ze statków, a także kilka pozostawionych kutrów rybackich. Wszędzie także można zobaczyć sól, wkradającą się tu do najmniejszych zakamarków.

Do „płynnej” pozostałości Morza Aralskiego od strony uzbeckiej nie ma dojazdu. Gdy przejedzie się 100 km wyschniętym dnem, piasek robi się coraz bardziej wilgotny. To znak, że za kilka kilometrów pojawi się lustro wody. Niestety, żaden transport lądowy nie jest w stanie przebrnąć przez coraz bardziej bagienny teren.

Do Mo‘ynoq można się dostać autobusem z Nukusu za kilka dolarów, ale lepiej wynająć samochód za 40 USD dziennie. Kierowca zna wszystkie miejsca godne odwiedzenia. Do samego Nukusu można dolecieć samolotem z Taszkontu za około 100 USD.

ZAMKI Z GLINY

Wschodni Uzbekistan kiedyś nie był jałową, słoną pustynią, ale sporym stepem zasiedlanym przez wiele plemion, które toczyły ze sobą regularne walki. Dziś o dawnej świetności świadczą jedynie pustynne twierdze *qala*. Po uzbecku *qala* znaczy „fort” lub „twierdza”, a w Karakałpacji przykładów tych budowli obronnych jest mnóstwo. Najokazalsza to Toprak Kala (III w. p.n.e.), która przyćmiewa inne pięknem i ogromem. Ponadto jest najlepiej zachowana. Jej ściany, tak jak i innych, są zbudowane z suchej gliny zmieszanej ze słomą i drewnem. W odróżnieniu od Egiptu czy Babilonu na tych terenach nigdy nie używano kamienia. Powód był prozaiczny – nie było go tutaj. Drewna też nie było za dużo.

Twierdza powstała nieopodal Amu-darii, największej rzeki Karakałpacji, której sezonowe wylewy przynosiły żyzny muł, służący uprawie. Żadne starożytne karakałpackie miasto nie było usytuowane w dolinie tej złowieszczej rzeki, która często wzbierała i z ogromną siłą niszczyła wszystko, co napotkała na drodze. Toprak Kala, podobnie jak starożytne miasta, leżało na wzgórzach nieopodal

rzeki. Twierdzę odnaleziono i opisano dopiero w 1938 r. Zajmowała prawie 17 ha i była otoczona kilkumetrowymi murami obronnymi. Zachowały się pozostałości domów, pałaców, świątyń, koszar, dróg i placów. Niestety, słońce i wiatr zniszczyły delikatne konstrukcje, więc dziś możemy podziwiać w zasadzie jedynie gigantyczne mury obronne Toprak Kala.

Twierdza Kizil Kala nie jest może tak wspaniała, ale dobrze zachowane wewnętrzne ściany tworzą prawdziwy labirynt. Swoim ogromem przytłacza z kolei XII-wieczna Guldursun Kala. Można wspiąć się na jej wysokie mury i podziwiać okolice oraz wnętrze twierdzy, które wygląda jak gigantyczne boisko. W niektórych miejscach mury przekraczają 15 m wysokości.

Natomiast mury fortecy Ayaz Kala mają ponad kilometr długości. Na szczycie wzgórz znajduje się pozostałość zamku, a poniżej – osady obronnej. Forteca jest dość dobrze zachowana, a z jej szczytu rozciąga się niezapomniany widok na słone jezioro, step i kilka jurtt wspomaganych przez rząd Uzbekistanu oraz UNESCO. W jurttach można spędzić noc i zjeść wyśmienity obiad, składający się z zupy, pilawu, szaszłyków, owoców i słodczy.

CHIWA JAK ŻYWA

Dawna stolica Chorezmu, Chiwa, olśniewa pięknem i oryginalnością. Na zdjęciu zespół zabytków Iczan Kala (Miasta Wewnętrznego).



Do fortyfikacji najlepiej dostać się wynajętą taksówką z Chiwy, Urgenczu bądź Nukusu. Wstęp do każdej twierdzy jest darmowy, ale pamiętajmy, aby chodzić tylko oznakowanymi szlakami. Wiele murów, a przede wszystkim podłóg, jest w fatalnym stanie. Każdy nieprześlany krok może się skończyć zawaleniem ściany lub zarwaniem podłogi.

Iranu i Iraku imperium Sasanidów i przedarł się do innych krajów, w tym na tereny dzisiejszej Karakałpacji.

Mizdakhan to ogromny poligon archeologiczny, który zajmuje kilka sporych wzgórz. Wstępu na ten niezmiernie cenny teren strzeże przyjacielska rodzina, której dom jest usytuowany tuż przy bramie wejściowej do kompleksu cmentarnego. Po przekroczeniu bramy jawi się bezkresny las grobów i grobowców, tablic, płotków i ścieżek. Dla Karakałpaków jest to ciągle święte miejsce, na którym pochówek jest wielkim zaszczytem. Najstarsze grobowce liczą nawet 2 tys. lat. Naukowcy uważają, że nekropolia należy do najstarszych w całej Azji. Według historyków tuż obok cmentarza istniało spore miasto, które bogaciło się na handlu. Właśnie tędy przechodził Wielki Jedwabny Szlak.

CMENTARZ JAK POLIGON

Mizdakhan przez tysiąc lat był związany z zaratusztrianizmem, jedną z najstarszych i wciąż istniejących religii. Życie Zaratusztry różni badacze umieszczają pomiędzy XIII a połową VI w. p.n.e., w północno-wschodnim Iranie. Zaratusztrianizm był religią państwową w istniejącym na terenie współczesnego

MIASTO DUCHÓW

Mizdakhan to największy i najstarszy cmentarz Uzbekistanu. Otoczony murami i bastionami, pełnił kiedyś także funkcje obronne.



Obecny kompleks cmentarny składa się z wielu większych mauzoleów, pieczołowicie odrestaurowanych przez rząd Uzbekistanu. Do najciekawszych należą: Mazlumkhan-sulu (XII w.), Shamun-nabi mazar (XVIII w.) oraz pobliskie pozostałości Gyaur-kala (IV w. p. n. e.). Wśród miejscowej ludności krąży wiele legend dotyczących cmentarza. Podaje się, że w pewnym grobowcu leżą zwłoki rzeźnika Jumarta, który podczas klęski głodu rozdawał biednym mięso. Ludzie tak ukochali dobrego sprzedawcę, że po śmierci postawili mu piękny grobowiec, który po dziś dzień uważany jest za wyjątkowy.

Grobowce w Mizdakhan różnią się między sobą. Niektóre to gigantyczne budowle, wręcz kompleksy. Inne to proste islamskie groby. Znajdziemy sporo wykładanych malowanymi kafkami, tłuczonymi talerzami czy

kawałkami blachy. Inne, biedniejsze, mają kształt glinianych sarkofagów. Na cmentarzu są także groby metalowe, które wyglądają jak kosmiczne kapsuły.

Do Mizdakhan nie dostaniemy się komunikacją zbiorową, ale zawiezie nas tam w ramach całodziennej wycieczki każdy właściciel samochodu z Nukusu lub Urgenczu. Odwiedzenie Mizdakhan warto połączyć z zobaczeniem wyschniętego Morza Aralskiego i pustynnych fortyfikacji. Taka wycieczka może kosztować do 50 USD za samochód. Wstęp na cmentarz jest bezpłatny, ale warto dać 2-3 USD rodzinie, która opiekuje się tym niesamowitym zabytkiem. Turystów jest tu bardzo mało, więc miejscowi traktują ich jako wyjątkowych gości. Oczywiście każdy dostaje darmową zieloną herbatę.





FOT. RADOŚLAW KOZUSZEK

DACHY DO WSZYSTKIEGO

Płaskie dachy uzbeckich domów są wykorzystywane do wszystkiego – jako letnie sypialnie, salony biesiadne czy telewizyjne, parkiety taneczne. A także suszarnie na owoce, z których potem wysmaża się dżem.

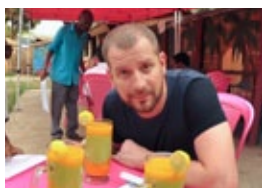
NAJLEPSZY DŻEM NA ŚWIECIE

W Qo‘ng‘irot nie pozostało prawie nic z czasów świetności, ale praktycznie każdy turysta odwiedza tamtejszy ogromny bazar. Można na nim kupić wspaniałe suszone sery kozie i owcze, które są formowane w kulki i jedzone jako zakąski. Idealnie smakują z pysznym uzbeckim piwem. Jeśli chodzi o coś na ciepło, to kebaby i szaszłyki są dostępne na każdej uliczce bazaru. Poza tym jest ogromny wybór świeżych warzyw, owoców i bakalii. No a takiego dżemu jak tu nie spotkacie nigdzie na świecie! Każda rodzina sama suszy morele, zazwyczaj na dachu domu. Następnie smaży je i zasypuje cukrem trzcinowym.

Najciekawsze są tu jednak „ruchome kantory” w postaci chłopców, którzy krążą z dużymi plastikowymi torbami. Na słowo „euro” bądź „dolar” reagują bardzo żywo i oferują korzystne

kursy, które przebijają te państwowe. Najwyższym banknotem uzbeckim jest 10 tys. sumów, co stanowi 2,70 USD. Jeśli wymieniamy więc kilkadziesiąt dolarów, będziemy potrzebowali plecaka lub plastikowej torby. Oczywiście wymiana jest nielegalna, ale nikogo to nie interesuje, nawet policji. Zarówno Karakałpacy, jak i Uzbecy nawet nie myślą o oszukiwaniu turystów. Stoją

cierpliwie przy delikwencie i trochę ze zdziwieniem w oczach patrzą, jak Europejczyk pieczołowicie przelicza ogromny plik banknotów. Na koniec pytają, czy wszystko ok. ○

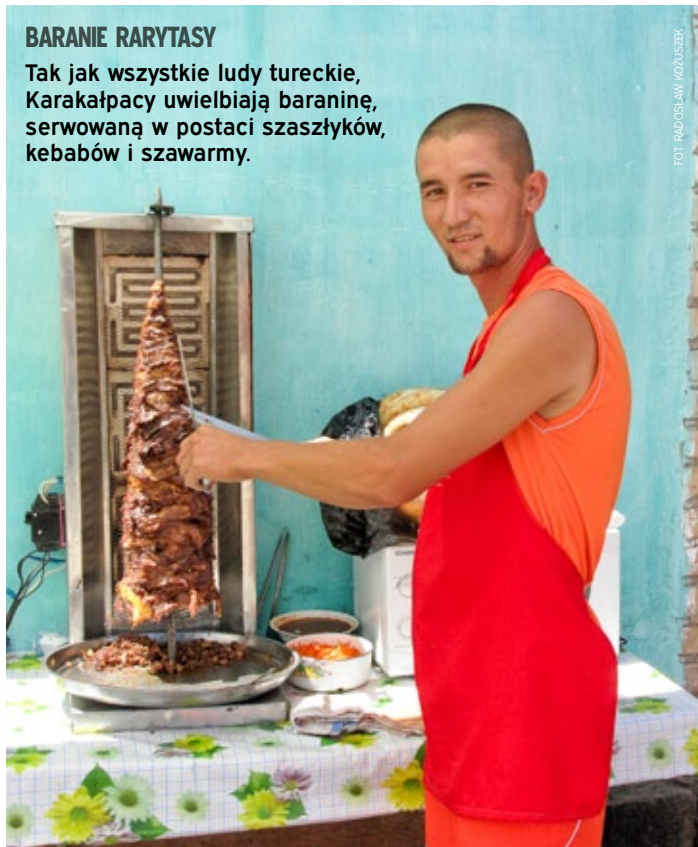


Radosław Kozuszek

Wykładowca akademicki. Prowadzi programy podróżnicze i kulinarne w Polskim Radiu PiK oraz Radiu Emaus. Autor licznych artykułów i przewodników turystycznych.

BARANIE RARYTASY

Tak jak wszystkie ludy tureckie, Karakałpacy uwielbiają baraninę, serwowaną w postaci szaszłyków, kebabów i szawarmy.



FOT. RADOŚLAW KOZUSZEK

Miesięcznik, który uzależnia od czytania i podróży



Mnóstwo prezentów w prenumeracie

- płacisz za 10 numerów, dostajesz **2 gratis**
- każdy numer trafi **wprost do Twojej skrzynki**
- wybierz jeden z **75 prezentów**: książki, przewodniki, gry
- **darmowa** dostawa
- prenumerata roczna **tylko 109 zł**

Prezenty zobacz tu: www.poznaj-swiat.pl/prenumerata

Jak zamówić prenumeratę? Telefonicznie: 583508464 lub przez stronę internetową www.poznaj-swiat.pl/prenumerata.

Numer konta: 77 1140 1065 0000 2145 6200 1004. Przy przelewach tradycyjnych w tytule przelewu prosimy podać: imię i nazwisko + adres + okres prenumeraty.



GEOSKOP

OBEJRZANE
PRZECZYTANE
ZASŁYSZANE

POD PATRONATEM POZNAJ ŚWIAT I NIE TYLKO

Przekroczyć granice strachu

W 1969 r. młodzi wspinacze Gordon i John Stainforth postanowili zmierzyć się z najwyższą w Europie pionową ścianą skalną, norweską Ścianą Trolli. Zachęteni przez „ekspertów”, pewni swoich umiejętności i zaopatrzeni w marny prowiant oraz sprzęt, który dziś określilibyśmy jako przestarzały, wybrali drogę nazywaną „Fiva” (słowo wymawiane jak angielskie fever – gorączka). Przygoda, która miała im zająć jedno popołudnie, okazała się trwającym ponad 50 godzin testem sprawności fizycznej, a także próbą charakteru i zaufania. To była wyprawa, która mogła kosztować ich życie. Minęło 40 lat, nim autor – który dziś się wspina, pisze książki i fotografuje góry – zdecydował się opisać te dramatyczne wydarzenia. To bardzo osobista, wspólnie opowiedziana, a zarazem nietypowa relacja. Wydawnictwo Poznańskie.



POZNAJ TATRY

W maju ukaże się trzecie, poprawione i uzupełnione wydanie bestsellerowej pozycji, którą TPN wydał po raz pierwszy w 2010 r. „Przewodnik przyrodniczy po Tatrach Polskich” Tomasza Skrzydłowskiego to obszerne kompendium wiedzy przyrodniczej, ale nie tylko. Zawiera informacje o dziejach poznawania przyrody Tatr, historii jej ochrony, o ludziach, którzy Tatrom poświęcili życie. W części ogólnej znajdziemy systematyczny opis aktualnej wiedzy o klimacie, glebach, szacie roślinnej i świecie zwierząt, a także o stosunku człowieka do przyrody. Wiedza szczegółowa jest przekazana w opisach 28 tras z licznymi ich wariantami. Autor zachęca, aby pochylić się nad każdym przejawem życia.

Książkę ilustruje blisko 800 fotografii, map i rysunków. Cennym dodatkiem jest atlas roślin tatrzańskich z ponad 300 gatunkami roślin, na które można natrafić na szlaku. To największe jak do tej pory popularne zestawienie tatrzańskiej flory. Alfabetyczny układ jest ściśle powiązany z opisami tras: przeczytawszy tam informację o konkretnym gatunku, łatwo odszukamy go w atlasie, a na podstawie zdjęcia – bez trudu zidentyfikujemy.



PACIFIC CREST TRAIL

Karolina Kwiecień zamierza przejść najdłuższy szlak trekkingowy w Stanach Zjednoczonych – Pacific Crest Trail. Jego długość to prawie 4265 km. Zaczyna się przy granicy z Meksykiem, a kończy na granicy z Kanadą. Biegnie przez trzy stany: Kalifornię, Oregon i Waszyngton. Na pokonanie trasy Karolina potrzebuje pół roku, zamierza przejść ją w pojedynkę. Droga będzie przebiegać przez 7 parków narodowych. Zacznie się w miasteczku Campo niedaleko San Diego, a zakończy w British Columbia's Manning Provincial Park w Waszyngtonie.



KELLYS ENDURO MTB SERIES

W tym roku zostanie rozegranych aż pięć imprez w cyklu wyścigów Kellys Enduro MTB Series. Poziom organizacji w sezonie 2016 i wzrost popularności kolarskiego enduro ma odzwierciedlenie w liczbie organizowanych imprez. Rywalizacja w ramach tego cyklu odbywa się w formule on-sight, czyli bez znajomości trasy. Dlatego odcinki specjalne są nieco łatwiejsze, ale ich pokonanie wymaga nienagannej techniki, szybkości reakcji i umiejętnego wyboru linii przejazdu. Taka forma ścigania zachęca nie tylko typowych endurowców, ale także zawodników startujących zazwyczaj w maratonach MTB lub w wyścigach cross-country. Było to widać podczas Mistrzostw Polski w Enduro 2016, gdzie na czołowych miejscach uplasowali się specjaliści od xco. Jednak osiągnięty wynik nie zawsze jest najważniejszy. Liczą się także: możliwość odkrywania nowych tras, pozytywne emocje i czas spędzony w gronie znajomych. www.Enduro-MTB.eu



ZAPISKI STALKERA

Wybuch reaktora elektrowni atomowej w Czarnobylu to jedno z najbardziej dramatycznych wydarzeń lat 80. Kilkadziesiąt sekund wystarczyło, by życie tysięcy ludzi legło w gruzach. Dziś został obszar, z którego po katastrofie ewakuowano zagrożoną skażeniem ludność, nazywany Strefą Zero – Zoną. Jest niedostępny, ale nie aż tak, by nie dało się do niego dotrzeć. A kto zrobi to raz, chce tu wracać. Zona wciąga, oferuje niesamowite doznania, ale w zamian nie pozwala przestać o sobie myśleć. Tomasz Ilnicki Strefę Zero odwiedził cztery razy. Zabiera czytelników w podróż w przeszłość i przyszłość równocześnie. Prowadzi przez szerokie aleje Prypeci, miasta-widma, w którym natura zwyciężyła cywilizację. Opisuje cmentarzysko statków i przerażający pustką oddział położniczy szpitala. To opowieść o pasji, poszukiwaniu wolności i cenie, jaką za to trzeba zapłacić. Wydawnictwo Sorus.



Z KOMPASEM W STUDZIENICACH

W ostatni weekend maja w okolicach Studzienic wystartuje XII Rajd „Z kompasem”. Miejscowość leży w centralnej części woj. pomorskiego, 10 km od Bytowa. Aż 65 proc. powierz-



Witamy w białej Afryce



To nie jest książka podróżnicza, opisująca piękno Namibii. Nie jest też pozycją naukową. Opisy przyrody, rys historyczny i polityczny są tylko tłem i uzupełnieniem najważniejszego wątku książki, jakim jest spojrzenie na zmiany zachodzące w południowej części kontynentu – kiedyś „bastionie białego człowieka” – oczami mieszkającej tam białej mniejszości. Liczne dialogi Wojciech Rogala przeplata informacjami z historii, pomagającymi zrozumieć czytelnikowi, dlaczego po przejechaniu przez pustynię, w odległym afrykańskim państwie, docieramy do miast, które swoją architekturą przypominają zabudowę takich miejscowości, jak Polanica-Zdrój na Dolnym Śląsku. Wydawnictwo Muza.

chni gminy stanowią lasy, a niemal 4 proc. – różnej wielkości jeziora. W takich przepięknych okolicach będą rywalizowali uczestnicy rajdu. Do wyboru jest osiem tras – 5 pieszych i 3 rowerowe. To emocje dla każdego: świetna rodzinna zabawa, duży wysiłek dla sportowców, nauka błędzenia dla początkujących, kilometry spędzone w marszu lub na rowerze. Organizator przygotował bogate pakiety startowe, obfity bufet i nagrody, o które warto powalczyć. Zapisy na rajd ruszyły 15 kwietnia. Szczegółowe informacje oraz rejestracja na stronie www.zkompasem.pl



FOT. MATYJA WILCZYŃSKA

U ŹRÓDEŁ SZTUKI

1 maja jest planowane uroczyste otwarcie jedyne w Polsce i bodaj największego w Europie Muzeum Magicznego Realizmu w Wiśle. Na jego siedzibę zaadaptowano willę Ochorowiczówka, zbudowaną przez Juliana Ochorowicza (1850–1917), pozytywistę, naukowca, wynalazcę telefonu (przed A.G. Bellem), pioniera telewizji, psychologa i spirytystę. W Ochorowiczówce gościli i tworzyli m.in. Bolesław Prus oraz Władysław St. Reymont. Kolekcję muzeum stanowi ponad 300 obrazów i rzeźb spod znaku fantastycznego realizmu i nowego surrealizmu. Miłośnicy sztuki z pogranicza jawy i snu będą mogli podziwiać tu dzieła najbardziej znanych polskich artystów wizjonerów, takich jak: Zdzisław Beksiński, Tomasz Sętowski, Jarosław Jaśnikowski, Rafał Olbiński czy współpracujący z naszą redakcją Marcin Kołpanowicz.

BEZPIECZNIE W GÓRACH

Od 7 lat w schronisku pod Turbaczem w połowie lutego odbywa się biwak, którego celem jest pokazanie uczestnikom, jak bezpiecznie i rozważnie przebywać zimą w górach. Osoby w każdym wieku mają okazję zdobyć wiedzę z zakresu biwakowania, przemieszczania się, udzielania pierwszej pomocy, skitouringu. W tym roku odbyły się 3 turnusy: dwa dla dorosłych i jeden dla dzieci i ich rodziców. Impreza z roku na rok przyciąga większą liczbę zainteresowanych, którzy pod okiem ratowników GOPR, instruktorów PZA i specjalistów z Polish Outdoor Group zgłębiają tajniki turystyki zimowej. Obecnie to największa tego typu impreza w Polsce, a nawet w tej części Europy.

Więcej informacji na: wintercamp.org.pl



FOT. PIOTR DWMAJ (POLISH OUTDOOR GROUP)

ZIELONYM BUSEM

Ania, Piotrek, Magda, Maniek, Dawid, Artur i Zielony Bus. Grupa przyjaciół od maja do sierpnia będzie zwiedzać USA, od Florydy aż po Alaskę. Poznają świat dzięki 20-letniemu ww Transporterowi T4, który pomimo sędziwego wieku, awarii i usterek zawsze dowoził ich do celu. Dwa lata temu objechali Skandynawię, a w zeszłym roku podróżowali przez 7 miesięcy po pozostałej części Europy oraz Maroku. Odwiedzili łącznie 39 krajów europejskich.

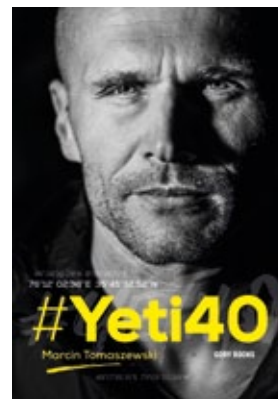


FOT. MATERIAŁY ZIELONNY BUS

W ciągu 3 miesiące planują przejechać Route 66, zjeść amerykańskiego steka, zagrać w ruletkę w Las Vegas i napić się whisky w saloonie. Odwiedzą Statuę Wolności, Wielki Kanion Kolorado, parki narodowe, Dolinę Śmierci i sprawdzą, jak dziki jest Dzik Zachód. Głównym celem wyprawy jest dotarcie na Alaskę, do Magicznego Autobusu z książki „Into the Wild”. Podróż będą relacjonować na www.zielonybusem.pl

#YETI40

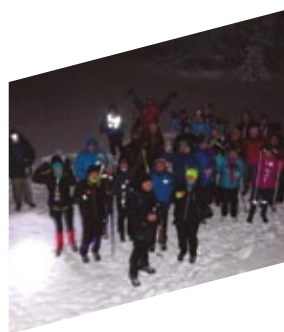
Marcin „Yeti” Tomaszewski należy do czołówki polskich alpinistów. Najlepszym tego dowodem są aż dwa Kolosy w kategorii Alpinizm, które otrzymał za 2003 i 2013 r. Po przekroczeniu 40 lat zdecydował się na literackie podsumowanie dotychczasowej kariery wspinaczkowego eksploratora i obieżyświata. Powstała książka, w której opisuje swoje przygody w górach na czterech kontynentach i we wszystkich strefach klimatycznych. Nie zabrakło ciekawie przedstawionych początków wspinaczkowej pasji, kiedy działał w wapiennych skałkach, na granitowych ścianach Tatr, a także... elewacjach szczytów budynków. Całość jest zilustrowana doskonałej jakości zdjęciami. Oryginalnym dodatkiem są bajki, które alpinista pisał w trakcie wypraw dla swoich dzieci. Wydawnictwo Góry Books.



REGATTA 
RUSZ
SIĘ



ZA NAMI:



REGATTA NOC - ZIMA - GÓRY 2017 **W GÓRY** **Z KIJAMI NORDIC WALKING**

Za nami Finał Regatta Noc - Zima - Góry 2017, czyli cyklu nocnych, zimowych wejść na szczyty polskich gór w stylu nordic walking. Od stycznia do marca odbyło się 6 spotkań pasjonatów tego sportu. Hasłem przewodnim była woda: uczestnicy pili wodę i kąpali się w wodzie, a kiedy nie było wody, to w zmrożonym śniegu! Poza tym poruszali się z zastosowaniem prawidłowej techniki NW, dzięki obecnym podczas spotkań instruktorom i trenerom z Polskiego Stowarzyszenia Nordic Walking.

Zdobyli szczyt Jagodna w Górach Bystrzyckich, Klimczok w Beskidzie Śląskim, Grabowiec w Karkonoszach, Jaworzynę Krynicką w Beskidzie Sądeckim, Wysoką w Pieninach oraz Izerski Stóg w Górach Izerskich. Akcje PSNW już kolejny rok wspiera marka Regatta. Od lutego do grudnia odbywa się pod patronatem programu Regatta RUSZ SIĘ! 2. Amatorska Ogólnopolska Liga Mistrzów Nordic Walking, czyli cykl wydarzeń rekreacyjnych bez elementu rywalizacji „na czas”, promujący najpiękniejsze regiony Polski.

ZAPOWIEDZI

TURYSTYCZNE RODZINKI WYRUSZAJĄ W POLSKĘ



Do 30 sierpnia 2017r. przyjmowane są zgłoszenia do Ogólnopolskiego Konkursu Turystyczna Rodzinka, którego pomysłodawcą jest Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze. Już teraz można odbywać konkursowe wycieczki, a relacje zapisywać w dzienniczkach. 3 najbardziej aktywne rodziny otrzymają ufundowane przez markę Regatta Polska zestawy odzieży turystycznej o wartości 1500 zł na osobę. Inne nagrody to 3-dniowe pobyty w obiektach PTTK oraz weekendowe wyjazdy z atrakcjami.

BIKE MARATON + SUPER BIEG AKTYWNE WEEKENDY BIEGOWO-ROWEROWE



Można połączyć dwie pasje w jedno, albo wybrać tylko bieganie lub kolarstwo. Wyścigi MTB spod znaku Bike Maraton oraz zawody Runner's World Super Bieg w większości przypadków odbywają się w jednej miejscowości w ten sam weekend od wiosny do jesieni. To imprezy dla wszystkich - i dla amatorów, i dla zawodników elity. Rywalizować można na różnych dystansach. Na wydarzeniach Regatta będzie obecna ze swoim stoiskiem, na którym będzie można zakupić towary z bardzo atrakcyjnymi rabatami.

WIĘCEJ INFORMACJI O IMPREZACH NA **RUSZSIE.ORG**

WIEŻA ZBAWICIELA

Jedna z rubinowych gwiazd Kremla na Baszcie Spasskiej (Zbawiciela) z 1491 r. Mechanizm zegara jest trzyzłomowy i waży 25 ton. Pod wieżą przechodzi się wprost na plac Czerwony.





MOSKWA: STRASZNE HISTORIE

Maciej Jastrzębski

Nie jest to opowieść o pustynnych mirażach czy ciągnących się po horyzont lasach. Nie ma w niej błękitnego nieba, palącego słońca i morskiej bryzy. To jest opowieść o mroku i strachu, o legendach zrodzonych z przesądów. I o ludziach, którzy wbrew zdrowemu rozsądkowi próbują dotrzeć do trzewi wielkiego miasta.

Jak każdy żywy organizm miasto oddycha. Nie raz widziałem, gdy w mroźne wieczory z otworów wentylacyjnych i studzienek ściekowych wydobywały się białe obłoczki pary. Słyszałem też stukot dobiegający spod ziemi i towarzyszący mu szmer podobny do górskiego strumienia. Moskwa codziennie pochłania kilowaty energii elektrycznej, hektolitry benzyny i tysiące metrów sześciennych gazu. A nazajutrz wydała: trujące dymy, śmierdzące cieczę i tony śmieci. W przeciwieństwie do wielu innych miast – nigdy nie zasypia.

Metro, bo o nim traktuje moja książka, stanowi łącznik między tym, co na powierzchni, a tym, co pod ziemią. Łączy współczesność z przeszłością. Jest króliczą norą, która prowadzi do świata legend, tajemnic i upiórów.

PARANORMALNI WROGOWIE ROSJI

A wszystko zaczęło się osiem wieków temu, gdy książę Jurij Dołgorukij postanowił wybudować nad rzeką Moskwą warownię. Najlepszym miejscem wydawało się wzgórze nazywane Borowickim. Porośnięte lasem, poprzecinane strumieniami, pozwalało mieć oko na całą okolicę, a wrogom utrudniało dostęp do twierdzy. Jednak wzgórze miało swój mroczny sekret. Kilkadziesiąt lat wcześniej pierwsi chrześcijanie, którzy dotarli w to miejsce, zburzyli świątynię pogańskiego boga słońca i zabili jego kapłana. Ten, wydając ostatnie tchnienie, rzucił klątwę na każdego, kto zechce zamieszkać na Wzgórzu Borowickim. Jak wieść gminna niesie, klątwa spadła najpierw na Dołgorukiego, który

zginął z rąk buntowników, a później na jego synów. I tak ciągnie się po dziś dzień, dotykając kolejnych władców zasiadających na kremleńskim tronie.

Takich legend o Moskwie jest wiele. Jedne opowiadają o mistrzach czarnej magii, którzy w podziemiach miasta oddawali się poszukiwaniom kamienia filozoficznego. Inne o nieprzebranych skarbach ukrytych pod Kremlm. Współcześni mieszkańcy Moskwy dodają

zauważyć, że moskwianie mają wyjątkową skłonność do dawania wiary wszystkiemu, co odmienne, tajemnicze i niewytłumaczalne. Rosyjska agencja prasowa Interfax poinformowała, że rocznie Rosjanie tracą na usługi wrózek, jasnowidzów, znachorów i okultystów około 30 mld dolarów. Choć każdego roku policja zatrzymuje kilkudziesięciu hochsztaplerów, to wciąż znajdują się nowi, którzy chcą zarobić na ludzkiej wierze



KOMSOMOLSKAJA PIĘKNOŚĆ

Spośród 150 stacji moskiewskiego metra Komsomolskaja jest uważana za najładniejszą. Wzorowana na sztuce baroku, udekorowana klasycznymi żyrandolami i bogato zdobionymi sufitami. Znajduje się pod największym węzłem przesiadkowym – placem Komsomolskim.

nowe: o tajemniczych liniach metra, o podziemnych wioskach dla najmożliwszych tego świata i o wrotach do innego wymiaru. Nie brakuje także historii, w których bohaterami są przybysze z innych planet, anioły i demony walczące ze sobą od początku świata, a także nasi potomkowie, którzy odwiedzają ziemię dzięki wehikułowi czasu.

Nie od dziś wiadomo, że w legendach można odnaleźć ziarno prawdy. Każda taka opowieść odsłania przed nami nowe oblicze Moskwy i jej mieszkańców. Przy tym trzeba

w niekonwencjonalne metody leczenia, przewidywanie przyszłości czy rozwiązywanie ziemskich problemów przy pomocy czarów.

Nawet w rosyjskiej telewizji są emitowane programy poświęcone zjawiskom paranormalnym. Stacja TV3 wyspecjalizowała się w realizacji programów, w których ludzie popisują się swoimi nadnaturalnymi umiejętnościami. Ta sama stacja przygotowuje także serwisy informacyjne, w których dominują doniesienia o tajemniczych obiektach, paranormalnych zjawiskach, spiskach i klątwach.

Tego typu informacje są dla władz Rosji dobrym pretekstem do rozpowszechniania teorii, może nie ze świata mistyki, ale jak z tanich powieści szpiegowskich – że Rosję otaczają wrogowie, którzy nieustannie przeciwko niej spiskują.

IWAN GROŹNY, STALIN I KOPACZE

Niezwykłą popularnością cieszą się tutaj tzw. miejskie legendy. Na podstawie wielu z nich powstały reportaże i filmy. Wspomnijmy chociażby o bibliotece cara Iwana Groźnego. Według tej legendy bratanica ostatniego cesarza Bizancjum Konstantyna XI, aby uratować starożytny księgozbiór przed muzułmanami, wyszła za mąż za kniazia moskiewskiego Iwana III Srogiego. Zofia Paleolog, bo o niej mowa, wywiozła z Konstantynopola do Moskwy 70 wozów z książkami. Ponieważ w owym czasie większość moskiewskich budynków była drewniana, Zofia ukryła księgozbiór pod ziemią, aby uchronić go przed pożarem. Ów słynny zbiór zawierał między innymi teksty starogreckie i starohebrajskie, które miały pochodzić ze zniszczonej w IV w. Biblioteki Aleksandryjskiej. Gdy kolejny raz „czerwony kur” nawiedził Moskwę, Zofia namówiła męża, aby wybudował nowy Kreml, tym razem z cegły i kamienia. Car sprowadził więc z Rzymu architekta Arystotelesa Fioravantiego, który – jak wieść niesie – zbudował pod książeczą twierdzą kilka komnat. Ukryto w nich bizantyjskie skarby, a wśród nich książki.

Wielki Książę Moskiewski Iwan III Srogi nie do końca zdawał sobie sprawę, jak wielki posiada skarb. Dopiero jego wnuk Iwan IV Groźny docenił nie tylko bogactwo klejnotów zdobiących okładki ksiąg, lecz także ich wartość historyczną i naukową. Podobno Groźny wpadał w paranoję, gdy chronił bibliotekę przed wzrokiem obcych. Na podstawie zapisków dotyczących czarnej magii miał nawet rzucić zaklęcie, aby każdy, kto bez jego zgody zbliży się do ukrytych ksiąg, stracił wzrok. Toteż po latach już tylko car wiedział, gdzie jest ukryty bizantyjski księgozbiór. Po jego śmierci wielu próbowało odnaleźć sekretną bibliotekę, ale do dziś nikomu się to nie udało.

Inny przykład. Na Małej Nikitskiej znajduje się dom, w którym ostatnie lata życia spędził bliski współpracownik Józefa Stalina, zbrodniarz odpowiedzialny za „wielkie czystki”, szef NKWD – Ławrentij Beria. Nocami słychać tam podobno jęki tych, których radziecki szalenic osobście torturował. W teże kamienicy jest sporo ukrytych pomieszczeń, korytarzy i skrytek. Przy okazji kolejnych remontów ekipy budowlańców znajdowały a to narzędzia tortur, a to stare dokumenty, a niekiedy i cenne przedmioty.



Z kolei na placu Trzech Dworców można podobno zobaczyć pociągi widma, mieszkańcy pobliskich kamienic twierdzą zaś, że otrzymują wiadomości z przeszłości. Natomiast na Małej Sucharińskiej w XVI w. mieszkał wielki mag, który zamieniał piasek w złoto, potrafił być w kilku miejscach jednocześnie i znał tajemnicę nieśmiertelności. Wspomnę też o Galerii Tretiakowskiej... Wśród arcydzieł sztuki malarskiej znajdują się tam podobno

NIESAMOWITA GALERIA

Założycielem istniejącej od 1856 r. najbogatszej galerii malarstwa rosyjskiego był kupiec Paweł Tretjakow. Wśród arcydzieł są podobno i takie, które mogą mieć wpływ na nasze życie. Nocą postaci z obrazów wychodzą z ram i rozmawiają ze sobą.

takie obrazy, które mogą mieć wpływ na nasze życie. Jedne dodają nam sił, inne sprowadzają choroby. Czasami w nocy, gdy w galerii nie ma już gości, postacie wychodzą z obrazów i rozmawiają ze sobą.

Dla niektórych mieszkańców Moskwy tego typu opowieści nie są tylko legendami. Czasami osobiście poszukują ziarna prawdy, który jest w starych opowieściach, i schodzą

porośnięte kępami mchu, i strzela iskrami, gdy natrafi na strużki wody ściekającej po ścianach. Później obraz traci ostrość i kolor, szczególnie się zaciera i dalej jest już tylko czern. Pustka pożerająca światło i dźwięk. Tak pewnie wyglądają kosmiczne czarne dziury.

Podobno w latach 60., czy też 70., grupka naukowców przeprowadziła eksperyment. Kilkanaście osób zamieszkało w podziemiach



FRONTOWY I FILMOWY

To jedna z najbardziej znanych stacji kolejowych wielkiej Moskwy. Właśnie na niej w 1970 r. powstał słynny „Dworzec Białołuski”, film opowiadający historię radzieckich weteranów wojennych, którzy tutaj kończyli swoje frontowe powroty.

do podziemi – eksplorują kanały ściekowe, piwnice, zabetonowane koryta rzeczek i bunkry. Rosjanie nazywają ich diggerami (z ang. *digger* – „kopacz”). Moskiewscy diggerzy wiedzą niemal wszystko o sekretach podziemnej Moskwy. Znają też tajemnice Metra 2 i schronów Stalina.

MUTANCI SPOD ZIEMI

– *Echo, echo, cho, cho...* – krzyk niesie się w głąb długiego tunelu, odbija od ścian, cichnie i ginie w ciemnościach. Podobnie promień latarki, najpierw wyluskuje z mroku zmurszałe cegły,

Moskwy. Sześć miesięcy nie wychodzili na powierzchnię. Przez pierwsze tygodnie zwiedzali korytarze, piwnice i jaskinie. Później, jako że nie utrzymywali kontaktu ze światem zewnętrznym, życie zmusiło ich do poszukiwania jedzenia i organizowania prowizorycznych domostw. Z czasem badawczy entuzjazm opadł. Często dochodziło do kłótni. Część nie wytrzymała i przerwała eksperyment, niektórzy postanowili żyć samotnie, a inni wegetowali zbici w grupkę. Przy okazji w zapiskach uczestników tego eksperymentu natrafiono na spostrzeżenia dotyczące tajemniczych mieszkańców podmoskiewskiego labiryntu.

Wspominano o wychudzonych istotach człękoksztalnych, uciekających przed światłem latarek. Wielokrotnie widziano w ciemnościach czerwone punkciki przypominające oczy zwierząt...

Po przeanalizowaniu tych notatek naukowcy doszli do wniosku, że dziwne istoty nie mogły być wytworem mózgu poddanego presji. Nasunęły się więc wnioski, że w podziemiach Moskwy żyją zmutowani ludzie albo inny gatunek człękoksztalnych. Zwolennicy tej pierwszej teorii twierdzili, że za czasów Iwana Groźnego i jego bezpośrednich następców powstała sekta, której członkowie postanowili zamieszkać w labiryncie korytarzy, z dala od światła słonecznego. Ich potomstwo z pokolenia na pokolenie przystosowało się do życia pod ziemią. Druga teoria, o nieznanym gatunku, jest oczywiście jeszcze mniej prawdopodobna. Mój znajomy *digger* ma na ten temat własne zdanie... Otóż Walera twierdzi, że to po prostu bezdomni, którzy po wielu latach spędzonych w ciemnościach upodobnili się do zwierząt.

RUBINOWE OCZY KREMLA

Czerwone jak oczy smoka, zawieszane wysoko nad miastem, są niemymi świadkami wielkich wydarzeń. W dzień odbijają promienie słońca, a nocą rozbłyskują światłem potężnych żarówek. To rubinowe gwiazdy kremlowskich wież – pamiątka po komunistach, duma rosyjskiej stolicy, symbol potęgi i splendoru.

Choć znacznie młodsze od baszt, na których je zamontowano, wiele widziały. Wciąż jednak milczą, lojalne wobec gospodarzy Kremla. Przed nimi czuwały nad Moskwą dwugłowe orły, ale strącił je huragan wielkiego terroru.

– *Puste iglice nad siedzibą wodza wróżą nieszczęście* – szeptał prosty lud, a rewolucyjna brać niosła te słowa wprost do uszu Józefa Stalina.

– *Co jest symbolem zwycięstwa, ochrony i bezpieczeństwa?* – pytał wódz swoich doradców.

– *Nasza gwiazda, czerwona i pięcioramienna* – odpowiadali bez namysłu.

– *Dawać mi tu specjalistów, niech się biorą do roboty* – rozkazał Stalin i już 24 października 1935 r. zainstalowano na wieży Spasskiej pierwszą gwiazdę.

Dzisiaj spośród dwudziestu kremlowskich baszt pięć jest zwieńczonych gwiazdami z rubinowego szkła: Spasska, Troicka, Nikolska, Borowicka i Wodociągu. Każda ma zamontowaną wewnątrz lampę o mocy od 2 do 5 tys. watów, a u podstawy – sterowaną elektronicznie prowadnicę, która umożliwia swobodny obrót w zależności od siły i kierunku wiatru.

Nasze gwiazdy nigdy nie śpią – mówią moskwianie i przekonują, że nic nie ujdzie uwadze rubinowych oczu. Przez niemal dziesiątki lat obserwowały one, jak żyją radzieccy i rosyjscy przywódcy. Były świadkami spisków, pałacowych przewrotów, pogrzebów i defilad. Wiedzą, co skrywają tajne archiwa. A ich wiedza jest znacznie bardziej intrygująca niż wszystkie moskiewskie legendy razem wzięte. ◉

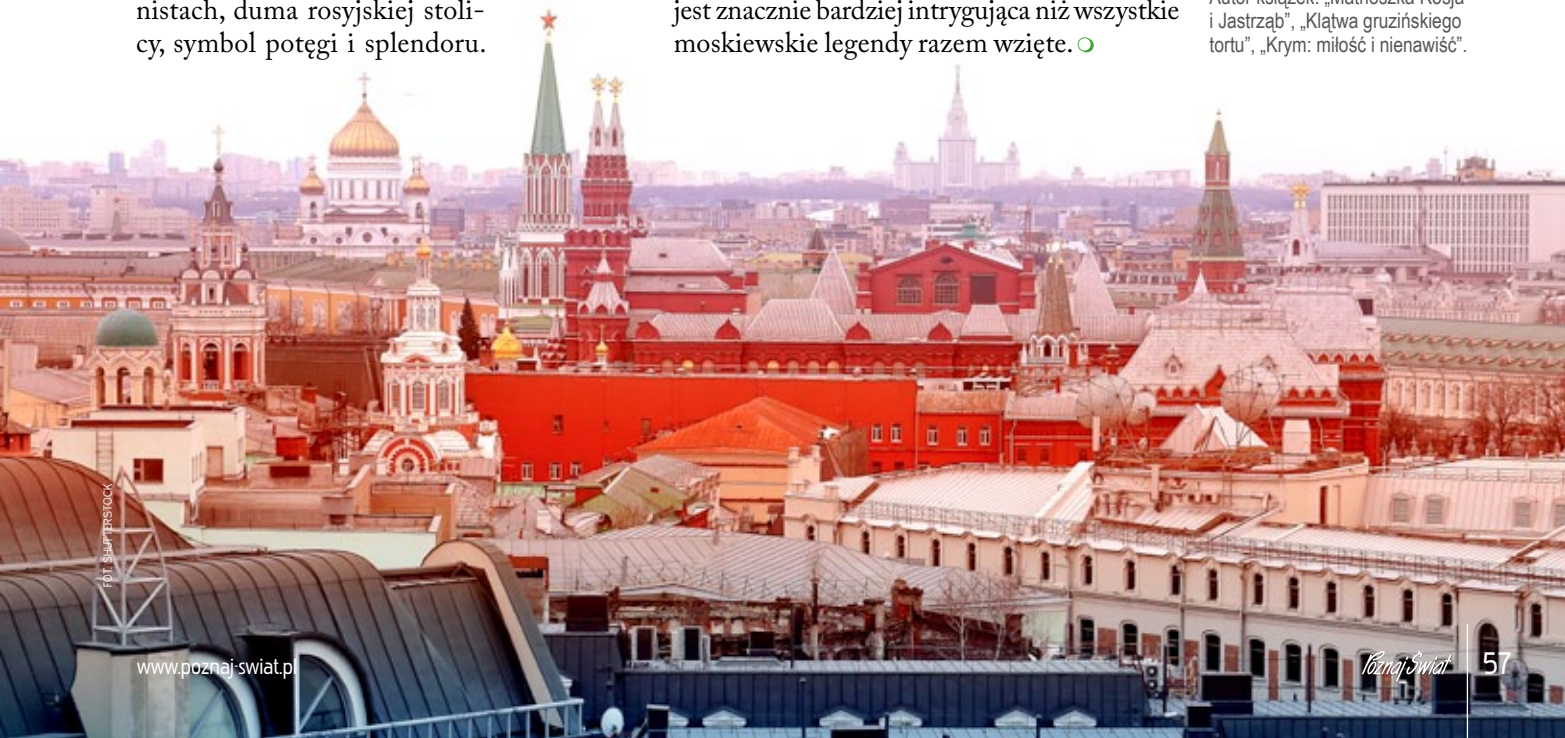


O sekretach i legendach opowiada książka autora „Rubinowe oczy Kremla: tajemnice podziemnej Moskwy”.



Maciej Jastrzębski

Włocławianin, który zawodowe życie związał z Polskim Radiem. Dziennikarską przygodę rozpoczął od współpracy z Trójką. Później był reporterem rozgłośni w Bydgoszczy. Od wielu lat jest korespondentem Informacyjnej Agencji Radiowej Polskiego Radia. Pracował w Mińsku, a obecnie mieszka w Moskwie. Autor książek: „Matrioszka Rosja i Jastrząb”, „Kłątwa gruzińskiego tortu”, „Krym: miłość i nienawiść”.





FOT. SHUTTERSTOCK

M JAK MAJÓWKA

Wyczekany, w grafik wpisany, z dawien dawna zaplanowany – weekend majowy! Wakacje w miniaturze, tak polskie jak pierogi. Należy je spędzić na łonie natury i cieszyć się pełnią krajowej wiosny. Nie będziemy więc jechać daleko. Za to cofniemy się w czasie.

Ledwie spłyną z nas ostatnie krople po dyngusie, już wyglądamy kolejnych wolnych dni. Jak kraj długi i szeroki po Wielkanocy wybucha majówkowa gorączka. Nie ma chyba takiego naiwniaka, który nie zgłosiłby wtedy urlopu, a o dyżury w pracy trzeba ciągnąć zapalki. Ostatniego dnia kwietnia

na osiedlowych parkingach trwa poruszenie: w bagażnikach aut lądują piknikowe kosze i przenośne grille. Miejska klasa pracująca grzęźnie w korkach, emeryci z wnuczętami oblegają pociągi, uczestnicy studenckich rajdów szturmują PKS-y udające się na południe. Weekend majowy to nie zwykła przerwa, to narodowa tradycja. Aby godnie ją pielęgnować, warto przypomnieć sobie jej korzenie. Posłuż nam do tego sentymentalne abecadło.

Kolejność alfabetyczną musi na chwilę zastąpić hierarchia ważności. A ta każde zacząć wyliczankę od:

P jak **pochód**. Długi majowy weekend wziął się przecież, o ironio, od Święta Pracy. Przyjemność potem, najpierw obowiązek. W czasach PRL-u 1 maja nie wyruszało się za miasto, ale na centralne place, skąd startował przymusowy marsz ulicami. Na majówkę jechało się w inny wolny dzień. A oto najważniejsze atrybuty wiosennych (i nie tylko) czasów z tamtych czasów:

A jak **autobus**. O własnych czterech kołach można było kiedyś tylko pomarzyć, dlatego wszędzie jeździło się transportem zbiorowym. Odległość nie grała roli. Moi rodzice autobusem (miejskim, z twardymi siedzeniami z dermy) wybrali się w trzytygodniową podróż do Bułgarii.

B jak domek typu **Brda**. Nie ma wypadu za miasto bez odpowiedniej kwatery. Przytulność, bliskość natury, zapach sosnowych desek – pożądany dziś sielski urok, którego szukamy, płacąc niemałe

sumy za nocleg w stylowych pensjonatach czy agroturystykach, kiedyś był dostępny dla wszystkich. A raczej stanowił jedyną (oprócz namiotu) opcję. W czasach swojej świetności polskie kempingi tętniły życiem. A zgrabne i funkcjonalne domki, dziś zmuszałe i zabite, nomen omen, deskami, miały świetny design, który dziś podziwiamy u skandynawskich sąsiadów. Cudze chwalicie, swego nie znacie!

D jak **dmuchany materac**. Kto wybrał nocleg w namiocie lub pod gwiazdami, nie mógł się obejść bez tego akcesorium. Ciężki jak kłoda zwój brezentu. Zajmowało wieki napełnienie go powietrzem i jeszcze więcej – złożenie z powrotem. Wymagało to płuc trębacza lub spakowania pompki. O ile wcześniej nie sparcał lub nie złapał gumy niedającej się zalepić plastrem, z nawiązką wynagradzał wszelkie trudy i stanowił niebiańsko wygodne legowisko. Łóżko polowe mogło się przy nim schować!

K jak **koc w kratę**. Styliści lifestylowych magazynów znają potęgę dekoracji i wiedzą, że wiosenny wypoczynek nie może się udać bez nastrojowej oprawy. W tej roli doskonale sprawdza się ponadczasowy i wielofunkcyjny koc w sielską kratkę. Można było na nim zrobić piknik, uciąć sobie poobiednią drzemkę, wytrzeć się nim po kąpieli, a po wycieczce – spakować weń cały dobytek i zarzucić sobie na plecy. A kto w dzieciństwie choć raz nie zaznał rówieśniczej kocówki, ten potem nie umiał poradzić sobie w życiu.

O jak ognisko. Żaden tam grill, przenośny ruszt czy mobilna wędzarnia. Wyrafinowane przysmaki z telewizyjnych show mogą się schować przy chrupiącej, rumianej i ociekającej tłuszczem kielbasce z kijka. Zamiast dziwnych przypraw wystarczył dym przesiąkający ubranie i włosy. A na deser – pieczone ziemniaki w cudownie nadwęglonej skórce. Poezja warta czarnych zębów.

P jak przenośny sprzęt. Dziś na wycieczkach ciągniemy za sobą zgrabną walizkę. Kiedyś szło się objuczonym jak karawana. Śladany stolik, krzesła i taborecik, tranzystorowe radio, podręczna butla gazowa i lodówka. Że ciężko, że po co? Ano po to, żeby poczuć się jak w domu.

S jak suchy prowiant. Wycieczka bez przygotowanego wcześniej jedzenia to jak herbata bez cukru lub obiad bez kompotu. Można, ale po co? Pół przyjemności wiosennej wycieczki to nurkowanie do nesesera po przekąski i szeleszczenie zatłuszczonym kanapkowym papierem. Przed laty w pociągach i autobusach roznosił się swojski zapach gotowanych jaj ze szczypiorkiem, a na polach namiotowych wesoło brzęczały puszeki z paprykarzem, pasztetem i konserwą turystyczną. Pomidorka? Ogóreczka? Suchara beskidzkiego? Częstowanie współpasażerów to najlepszy sposób na przełamanie lodów. A lody, wiadomo, tylko na patyku!

Ś jak śledzie. Skoro mowa o kulinariach, nie sposób pominąć śledzi. Te na majówce miały dwoistą naturę. Po pierwsze: potrawy wieczorowej, przywożonej w słoiku z myślą o spożyciu z czymś mocniejszym, naturalnie w doborowym towarzystwie. Po drugie: fundamentów namiotu, o które rozbijało się wszystko – prawidłowe rozstawienie zadaszenia, nawiązanie znajomości z nocującymi obok sąsiadami, a czasem nieuważnie postawiona stopa.

T jak termos. Pierwsze dni maja, a zwłaszcza noce, bywają zimne. Nic nie zastąpi wtedy parującej herbatki z nakrętki, przekazywanej towarzyszącej jak fajka pokoju. Zawsze pod ręką, zawsze ciepła. W razie noclegu w kwaterze z elektrycznością równie dobrze sprawdzała się **G jak grzałka.**

W jak wczasy pod gruszą. Przyjemny dodatek do pensji na dofinansowanie wyjazdu na łono natury. Zbawienny służbowy bonus, który niesłusznie popadł w niepamięć. Może kiedyś nie dało się



Zainstaluj aplikację **Publico24**,
włącz Bluetooth
na swoim urządzeniu
i ciesz się bezpłatnym
dostępem do prasy

Aplikacja dostępna w:



Uruchom Bluetooth, by korzystać z darmowych treści w wybranych miejscach*



wyskoczyć na weekend do Rzymu albo Paryża, ale przynajmniej pracodawca dbał, by podwładni wypoczęli na świeżym powietrzu. Może zwiedzało się mniej świata, za to więcej własnego kraju.

Z jak zapomniana zabawa. Na pochodzie, na kempingu, w grajdołku na plaży i na działce – każda okazja była dobra do pogawędki i nawiązania nowych znajomości. Nikt nie pędził, by odetchnąć w hotelowym pokoju, nikt nie odwracał od współpasażerów wzroku, by wlepić go w tablet. I tańce! Tańce do białego rana. Dziś wolimy się wypaść.

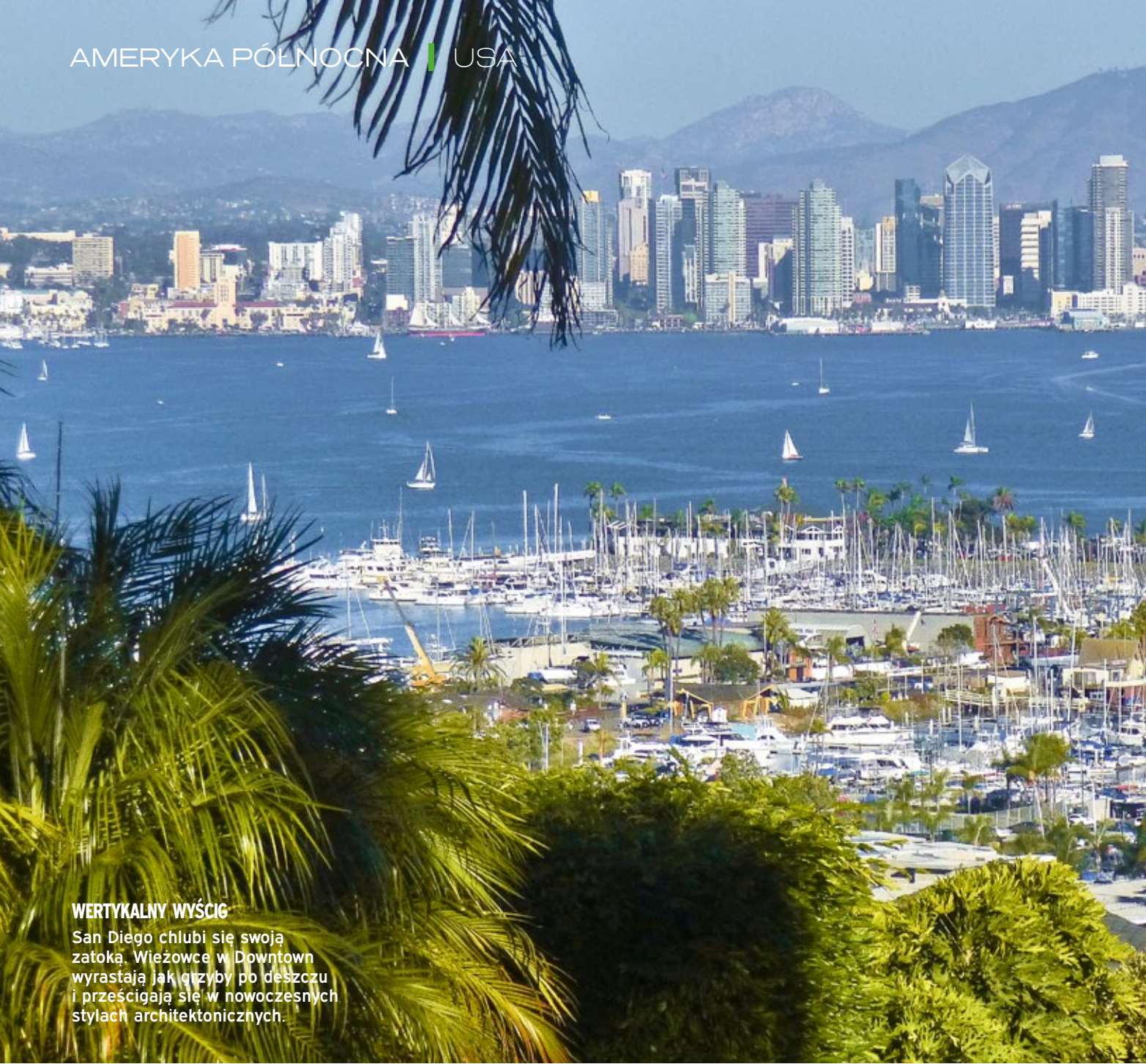
Skąd wiem, jak było kiedyś? W czasach, o których piszę, byłam małą dziewczynką. I choć wypoczywałam wtedy bliżej, to znacznie weselej niż dziś. Ktoś

zakrzyknie: czy tęsknię za PRL-em? Nie. Ale za czasami, kiedy było się razem, a nie osobno, już tak. Kiedy zamiast w telefon patrzyło się w okno. Kiedy zamiast w milczeniu tkwić w jacuzzi, z piskiem chlapało się w rzecze. I kiedy ludzie częstowali się w pociągu, nie podejrzewając tabletki gwałtu, i nie fukali na zapachy z czyjejs kanapki. Mówią, że nic się w tamtych czasach nie działo. To dlaczego mam tak wiele wspomnień? ○

Magdalena Żelazowska

Dziennikarka, pisarka, blogerka. Od lat w bliższych i dalszych rozjazdach, w które zawsze zabiera notatnik. Jest autorką powieści „Zachłanni” i „Hotel Bankrut”. Prowadzi blog podróżniczy

www.zgubsietam.pl



WERTYKALNY WYŚCIG

San Diego chlubi się swoją zatoką. Wieżowce w Downtown wyrastają jak grzyby po deszczu i prześcigają się w nowoczesnych stylach architektonicznych.

Małgorzata Jarzembowska

NAJWSPANIALSZE MIASTO AMERYKI



FOT. MALGORZATA JANZEMIEWSKA



Tak nazywają je mieszkańcy USA – America's Finest City. Chodzi oczywiście o łagodny klimat. Bo na pogodę w San Diego prawie zawsze można liczyć. Zimą temperatura często dochodzi do 25°C. Latem natomiast, kiedy całe południowo-zachodnie Stany smażą się jak stek na patelni, tutaj, dzięki chłodzącemu oceanowi, 30°C to rzadkość.

Jednakże liczenie tylko na pogodę byłoby zbyt ryzykowne. Zdali sobie z tego sprawę ojcowie miasta 30 lat temu, kiedy to energicznie przystąpiono do radykalnej przebudowy i upiększenia go. Dzisiaj nowoczesne szklane wieżowce strzelają w niebo. U ich podnóża rozmieścili się stylowe restauracje, które serwują dania z całego świata. Wysokościowce w San Diego ze względu na bliskość lotniska nie mogą przekraczać 500 stóp (152 m). Najwyższy budynek, z charakterystycznym

pryzmowym dachem, One American Plaza, ma równo 500 stóp, 33 piętra i ponad 25 lat. Po nim poznaje się, że to *downtown*.

Słowo *downtown*, czyli „miasto na dole”, jest typowo amerykańskie. Utworzono je w Nowym Jorku, kiedy na początku XIX w. intensywnie się rozbudowywał. Rozbudowa poszła na północ, czyli na mapie w górę, natomiast oryginalne miasto, zlokalizowane w odniesieniu do nowych dzielnic na południu, czyli na mapie *down*, zaczęto nazywać



FOT. JONAS MACASABIAN / SHUTTERSTOCK

MIASTO NA DOLE

Odrestaurowane Downtown tętni życiem nie tylko biznesowym, ale i kulinarnym. Pierwsze budynki postawiono tu w latach 60. XIX w.

downtown. Dzisiaj słowa tego używa się zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie dla określenia centralnej, tętniącej życiem, biznesowej dzielnicy.

NARODZINY KALIFORNI

Główną ulicą, Broadwayem, dochodzę do wspaniałej, dużej zatoki. Deptak, jachty na kotwicy, świeża bryza znad oceanu. Gdyby ktoś powiedział, że San Diego to miasto wody,

błękitu i słońca, toby się ani trochę nie pomylił. Czuje się tu lekkość i wolność.

Ale czas coś zjeść. Kilka przecznic w bok mieści się dystrykt Małe Włochy. To chluba lokalnych makaroniarzy. Tu spotykam się z Angelą, Włoszką z Nowego Jorku. Najpierw wchodzimy po zakupy do Mona Lizy (sklep jakby przeniesiony z Rzymu czy Mediolanu), a potem jemy obiad w jednej z licznych restauracji. Na zewnątrz i wewnątrz wabiąco pachnie czosnkiem, pizzą, przyprawami. Pycha!

Odkrywanie zachodniej Ameryki zaczęło się w 1542 r., kiedy żeglujący pod banderą hiszpańską Juan Rodríguez Cabrillo jako pierwszy Europejczyk zakotwiczył u wybrzeży dzisiejszej Kalifornii, w miejscu, gdzie obecnie znajduje się zatoka San Diego. Jednak Hiszpania, zbyt wtedy zajęta łupieniem Meksyku, nie była zainteresowana nowo odkrytymi obszarami. Dopiero 227 lat później, w 1769 r., w obliczu coraz intensywniej eksplorujących te ziemie Rosjan i Anglików, Hiszpanie zdecydowali się założyć tu kolonię. Rozciągała się ona wzdłuż Pacyfiku na długość 1 tys. km, od obecnego San Diego na południu po Sonomę, na północ od San Francisco. Nazwano ją Upper California, Kalifornia Górna, w odróżnieniu od wcześniej już założonej kolonii Baja California, Kalifornii Dolnej, znajdującej się w obecnym Meksyku.

Na terytorium Kalifornii Górnej zbudowano 21 misji katolickich. Odrestaurowane, są dzisiaj żywymi kartami historii, wartymi zobaczenia. Misja San Diego de Alcalá została założona pierwsza. Od razu wybudowano też fort, *presidio*. Po 52 latach rządów Hiszpanii Kalifornia Górna przeszła w 1821 r. w posiadanie niepodległego od niedawna Meksyku, a w 1850 r. została, w granicach stanu Kalifornia, przyłączona do Unii.

Na Starym Mieście ma się wrażenie, że czas się zatrzymał. Przewodnicy chodzą tu w XVIII i XIX-wiecznych kostiumach, a domy pachną charakterystyczną starością. Odczuwa się, jakby przeniosło się w czasie 200 lat wstecz. A nawet wcześniej, gdyż ekspozycje opowiadają również o życiu dzielnych lokalnych Indian Kumeyaay. Nie ma wielu miejsc w Ameryce Północnej, gdzie pierwsze ślady europejskiego kontaktu sięgałyby tak daleko w przeszłość.



PARK NA CZĘŚĆ KANAŁU
 Park Balboa został
 zbudowany dla
 uczczenia otwarcia
 Kanału Panamskiego.
 Budynki w hiszpańskim
 stylu kolonialnym
 mieszczą muzea, teatr,
 kino IMAX.

NA WIELKIEJ FALI I PO WIELKĄ RYBĘ

Budzę się. Przez okno widzę bezchmurne niebo. Niebieskie to raczej normalka – jak tu mówią. Zachmurzenie – to byłoby dziwne. W Pacific Beach, młodzieżowej dzielnicy nad oceanem, mieści się dużo restauracyjek. Można w nich zacząć dzień od solidnego, sytego, amerykańskiego śniadania. Nie sposób obliczyć, ile tuzinów jajek dziennie (w Ameryce

jaja kupuje się na tuziny) rozbija się tu na omlety z bekonem, szpinakiem, meksykańskie z salsą czy hawajskie z ananase. Ale można też w lokalnej kafejce, prowadzonej przez tego samego właściciela od lat, wypić aromatyczną kawę i zjeść muffina, babeczkę *scone* lub donata. Wybieram malinową *scone*, bo chociaż napakowana kaloriami, głównie dzięki masłu, jest przepyszna i wystarczy do lunchu.



BARDZO DŁUGA LINIA

Wczasowicze mają do wyboru ponad 100 km plaż wzdłuż oceanicznej linii brzegowej hrabstwa San Diego. W wodzie jednak dominują surferzy.

OBUDZONA PUSTYNIĄ

Pustynia Anza-Borrego leży w cieniu gór Laguna, które nie przepuszczają wilgoci z nad oceanu. Latem temperatura przekracza tu 40°C. Na wiosnę pustynia budzi się do życia, szczególnie w latach, kiedy opady deszczu są obfite.

Po śniadaniu wychodzę na szeroką, piaszczystą plażę. Ciemnoniebieski, poprzecinany białymi falami ocean przemawia o swoim ogromie. Tylko pomyśleć, że przeciwległy brzeg położony jest prawie 9 tys. km stąd! Wieje rzeński wiatr. Kilku windsurferów żeglujecie poza przybojem. Jest i jacht. Wzrok przyciągają jednak surferzy próbujący wskoczyć na fale, wszyscy ubrani w pianki – woda w oceanie jest zimna. Są ostrożni. Fala jest wyższa niż zazwyczaj, nawet tworzy tunele. Za to jak już surfują, jest to prawdziwy pokaz fantazji i umiejętności.

wypływają na połowy wielkiej ryby (przeważnie uwiecznione dużym tuńczykowym sukcesem) lub na obserwacje wędrówek wielorybów. Z przybrzeżnych, przyklifowych wiatrów korzystają lotniarze, a bywa, że i szybownicy. Ze względu na chłodny prąd, który niesie wody z Alaski, w oceanie pływa się komfortowo dopiero pod koniec wiosny. Ale ma to też dobrą stronę – latem Pacyfik przyjemnie chłodzi. Wtedy plaże są pełne słońcolubów, a deptaki zatłoczone. Dużo tu nie tylko miejscowych i turystów, ale również przyjezdnych z rozżarzonej Arizony.



FOT. SHUTTERSTOCK

Miasto, z ponad 30 km oceanicznej linii brzegowej i 45 km brzegu zatoki Mission Bay, jest rajem dla wodniaków. Można tu uprawiać żeglarstwo, kajakarstwo, narciarstwo wodne, pływać na wszelkiego rodzaju deskach, łódkach i innych pojazdach wodnych. Zwolennicy wypadów na pełny ocean

ODKRYWCA I OWCE

Pakuję szorty, kapelusz i bloker. Czekam na przygodę! Jedziemy ze znajomymi na pustynię Anza-Borrego, gdzie zapomina się o cywilizacji. To największy park stanowy w Kalifornii, z ponad 800 km dróg szutrowych. Od San Diego jest oddalony tylko o dwie godziny jazdy

samochodem na wschód. Trzeba przejechać przez góry, które dochodzą do 2000 m n.p.m. Potem droga nagle ostrymi zakosami schodzi w dół i osiąga prawie poziom morza.

Anza-Borrego została tak nazwana od odkrywcy imieniem Juan Bautista de Anza, który jako pierwszy biały przetraversował ją w 1776 r., oraz od rzadko spotykanych lokalnych owiec zwanych po hiszpańsku *borrego*. Nie jest to pustynia piaszczysta w stylu Sahary. Należy ona do większego obszaru pustyni Sonora, która zajmuje południowo-zachodnie rejony Stanów Zjednoczonych.

i odsłania coraz to nowe krajobrazy. Jedziemy wąskimi przesmykami, po zboczach pagórków, wzdłuż wyschniętych koryt sezonowych rzek. Urzekają kolory – biel piasku (kiedyś znajdowało się tu pradawne morze), lekkie fiolety, ochry, brązy. Potem, podczas zachodu słońca, kolory te nabiorą wspaniałej intensywności.

Naszym celem jest oaza palm w Kanionie Palmowym. Jednogodzinne podejście łagodnym, pełnym zakrętów i niespodzianek przyrody szlakiem kończy się w uroczym gaju. Palm są tu setki, wielu nie widać, giną pomiędzy skałami. Sporo wielkich głazów.

MISTRZYNI SURWIVALU

Owce *borrego* mają niezwykłą zdolność adaptacji. Nie tylko przystosowują się do ekstremalnego ciepła, mogą też przeżyć bez wody nawet kilka miesięcy.



WASZYNGTONIE NITKOWATE

Małe, ciemne, jadalne nasiona tych palm przypominają w smaku daktyle.

FOT. MALGORZATA JARZEMBONSKA



FOT. MALGORZATA JARZEMBONSKA



FOT. SHUTTERSTOCK

Opady na Anza-Borrego są bardzo niskie, rzędu 75 mm rocznie. Temperatury latem osiągają 45°C (a pranie schnie w 5 minut!), tak że tylko zima i wczesna wiosna są idealne na organizowanie wypadów.

Otoczają nas poryte przez erozję, bezdrzewne góry. Szosa wiję się jak wstążka

Chodzimy pomiędzy nimi, wspinamy się coraz wyżej w górę kanionu. W pewnym momencie jest to już niemożliwe. Drogę zagrażają nam kłody palm, wyrwanych z podłoża podczas tzw. błyskawicznej megapowodzi, kiedy to w krótkim okresie czasu spadły bardzo obfite deszcze.

KOLCZASTY KOMPAS

Kaktus barytkowy, aby zminimalizować nasłonecznienie swoich boków, zawsze rośnie w stronę południa.



KLEJNOT SAN DIEGO

La Jolla, czyli Klejnot, to dzielnica bogatszych. Dużo tu butików, galerii, ekskluzywnych restauracji i... Europejczyków.

Odpozywamy w cieniu palm i moczymy nogi w chłodnej, czystej, źródlanej wodzie. W nocy przyjdą tu pumy i rysie, mulaki (lokalne sarny) i owce *borrego*. Gdzieś w oddali słychać już pierwsze zawodzenia kojotów. Zanim wyruszymy w dół, podziwiamy jeszcze endemiczne kalifornijskie palmy waszyngtonie nitkowate. To jedyny gatunek rodzimych palm rosnących w zachodnich Stanach. Charakteryzują się długą, szarą, liściastą „grzywą”, pokrywającą ich pień. Mogą żyć do 250 lat. Dowiaduję się, że przez Anza-Borrego przechodzi odnoga słynnego aktywnego rowu tektonicznego San Andreas. Gdyby nie ten rów i związane z nim trzęsienia ziemi, ani kanionów, ani palm by tu nie było.

Ale czeka mnie jeszcze jedna niespodzianka. W drodze powrotnej przyglądam się pustynnej roślinności – idealnym kuleczkom kaktusów *cholla*, wysokim wiechciom kwitnącym na szkarłatowo *ocotillo*, pustynnym

agawom, lawendzie i szaławii. Na wiosnę, gdy pustynia budzi się do życia, a jest to szczególnie widoczne w latach El Niño, rośliny wypuszczają młodziutkie listki i kwitną. Mam szczęście. W tym roku opady deszczu są bardziej niż zwykle obfite i pustynia zaczęła już kwitnąć. Teraz, pod koniec dnia, zapach jest niepowtarzalny, upajający, niezapomniany. Pustynia zachwyca innością, spokojem, prostotą i przyrodą. Trudno uwierzyć, że taka enklawa ciszy znajduje się jedyne 100 km od trzymilionowej aglomeracji miejskiej. No i jest tu fantastycznie, cudownie ciepło. Nie chce się wracać.

PAMIĘTAJĄ O OGRODACH

Ale nawet i w rajach bywają kłopoty, jak mówi miejscowi – w końcu jest to tylko raj ziemski. Kalifornia, zwłaszcza południowa, od 2013 r. cierpi na dotkliwą suszę. W tym

półpustynnym klimacie średnia opadów, która wynosi dla miasta rocznie 250 mm, ostatnio spadała do zaledwie połowy. Wprawdzie tej zimy opady są wysokie, a w górach Sierra Nevada leżą ponad 10-metrowe pokłady śniegu, co znacznie powinno zasilić stanowe rezerwuary wody, jednakże pamięta się o złowieszczym brzmiącej zapowiedzi NASA, która z 99-procentową pewnością przewiduje dla tego regionu kilkadziesiąt lat groźnej suszy. Sytuacja jest tym poważniejsza, że populacja w miastach południowo-zachodniej Kalifornii, które tworzą jedną wielką urbanistyczną całość, przekracza już 20 mln. To druga pod względem wielkości – po nowojorskiej – aglomeracja w Stanach Zjednoczonych i jedna z największych w świecie.

Kalifornijczycy jednak dzielnie przystosowują się do nowych realiów. Dzieci uczy się w szkołach, jak oszczędzać wodę, a domową wodę mydlaną odzyskuje się do podlewania trawników i drzew (bo z rurociągu można podlewać tylko dwa razy w tygodniu). Coraz częściej zamiast roślin egzotycznych sadi się rodzime, które nie wymagają dużego nawadniania.

Jest to piękne, zielone miasto. Pełno tu parków, wśród których prym wodzi olbrzymi, ciekawy botanicznie i architektonicznie park Balboa oraz słynne, skąpane w zieleni zoo. Dzięki łagodnym warunkom klimatycznym przyjmują się tu rośliny występujące w klimacie śródziemnomorskim na całym świecie: palmy kubańskie, szeflery parasolowate z Queenslandu, a nawet chilijskie araukarie.

Wychodzę na poranny spacer. Z ogródków śmieją się mandarynki, granaty, cytryny, limetki, guawy i malutkie jabłuszka. Są też



R E K L A M A

marakuje, papaje, drzewa awokado, makadamii, kaki. Nie do uwierzenia. Czego ludzie tu nie posadzą! Po lokalnym rekonesansie wracam do domu z soczystą pomarańczą. Właścicielka drzewa zaoferowała, że mogę wziąć, bo im się już przejadły. Będzie na śniadanie. ○



Małgorzata Jarzembowska

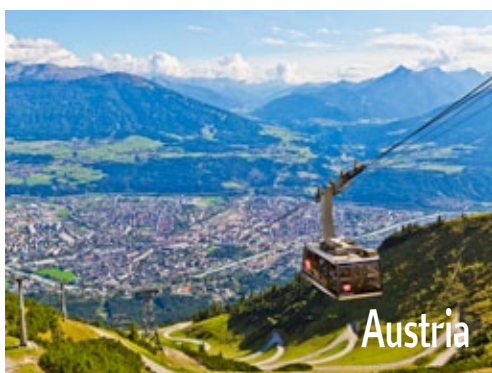
Najbardziej lubi podróżować w rejonie Pacyfiku. Podziwia ogrom i piękno tej Wielkiej Wody oraz różnorodność kultur, na które bezkresny ocean miał i nadal ma wpływ.



NAVIGATOR



Nasze rekomendacje na krótkie wypady





Portugalia Fatima

 39°38'N 08°40'W

Fatima leży w odległości ok. 125 km na północ od Lizbony.

od 13 maja do 13 października 1917 r. Temu ostatniemu wydarzeniu towarzyszył widziany przez wiele osób i uznany przez Kościół „cud słońca”.

Na uroczystości jubileuszowe zaplanowano wiele imprez, w tym publikacje, koncerty, wystawy, przedstawienia oraz konferencje naukowe. W dniach 12–14 maja na fasadzie bazyliki Matki Bożej Różańcowej odbędzie się pokaz video mappingu „Fatima – czas światła”. W sześciu scenach zostaną przedstawione najważniejsze treści orędzia Maryi oraz ich związek z historią ostatnich stu lat. W bazylice do końca października br. jest otwarta wystawa „Barwy słońca – światło Fatimy w świecie współczesnym”, upamiętniająca „cud słońca”. Odtworzono scenę ostatniego objawienia Matki Boskiej, przedstawiono zrobione wówczas zdjęcia oraz bezpośrednio relacje świadków wydarzenia. Obecność na majowych uroczystościach zapowiedział papież Franciszek. Miasteczko spodziewa się w tym czasie nawet 1,5 mln wiernych.

Stulecie cudu

Kilkunastotysięczna Fatima, najważniejsze sanktuarium Portugalii, już od kilku lat szykuje się do obchodów 100-lecia objawień maryjnych. Matka Boska ukazywała się trójce pastuszków: Franciszkowi, Hiacyncie i Łucji, co miesiąc

Austria Innsbruck

 47°16'N 11°24'E

Do Innsbrucka latają samoloty z aż pięciu polskich miast, tj. Warszawy, Gdańska, Katowic oraz Poznania.

MIASTO I WSPINACZKA

Poszukiwacze przygód powinni koniecznie udać się do Innsbrucka. Miasto przygotowało specjalny pakiet „Hike and City”, który łączy miejskie atrakcje z aktywnym wypoczynkiem. Można zrobić zakupy na zmodernizowanej niedawno ulicy Marii Teresy, pełnej stylowych butików, centrów handlowych, kafejek i kawiarni. Stolica Alp to idealne miejsce nie tylko dla miłośników zakupów, ale również dla wspinaczy. Każdego ranka o 9 specjalny „autobus wspinaczkowy” zawozi turystów w góry. Wykwalifikowani przewodnicy zaopiekują się nimi w ramach pakietu „Hike and City”.

Pakiet zawiera: trzy noclegi B&B w cztero-gwiazdkowym hotelu, sprzęt wspinaczkowy transport oraz opiekę



przewodników ASI. W cenie jest również jeden przejazd kolejką Nordkettenbahnen, która zabiera turystów z centrum miasta i zawozi na wysokość 2000 m n.p.m. w niecałe 20 minut.

Więcej informacji na: www.innsbruck.info, www.innsbruck-packages.com

ZAMIESZKANY SKANSEN

Niewielkie Røros to muzeum pod gołym niebem, wpisane na listę UNESCO. Niegdyś miasto górnicze, do 1972 r. wydobywano tu miedź. Dziś zachwyca oryginalnością i autentycznością, dzięki którym odwiedzający mogą poczuć się jak w dawnych wiekach. Røros jest jednym z najstarszych europejskich miasteczek z drewnianą zabudową, a rozmieszczenie ulic i budynków prawie nie zmieniło się od początku jego istnienia. Zaledwie 10 minut od centrum znajduje się park Doktortjønna, gdzie można wybrać się na wycieczkę pieszą bądź rowerową, popływać kajakiem czy łódką, a nawet połowić ryby.

Aby bliżej poznać Røros, jego tradycje i zwyczaje, warto zajrzeć tam zimą. Każdego roku w przedostatni wtorek lutego odbywa się w miasteczku jedna z ważniejszych dla Norwegów uroczystości Rørosmartnan (z powodu odejścia Szwedów w 1718 r.). Na ulicach przedstawiane są rzemiosła, organizowane aukcje i występy artystyczne. Ta kilkudniowa impreza przyciąga corocznie dziesiątki tysięcy turystów.



FOT. DMITRIY CHULOV - SHUTTERSTOCK

 62°34'N 11°23'E

Røros leży w środkowo-wschodniej części Norwegii, nad brzegiem jej najdłuższej rzeki – Glomma.

Jezioro Guinnessa

 53°06'N 06°16'W

Najwygodniejszym miejscem do obserwacji ciekawego zbiornika jest punkt widokowy przy drodze R759.



FOT. SHUTTERSTOCK

Dublin tętni życiem o każdej porze roku, uwielbiany przez turystów z całego świata, przyciąga jak magnes. Jednak nie samym miastem człowiek żyje. Z irlandzkiej stolicy warto wybrać się kilka kilometrów na południe, do hrabstwa Wicklow. To najrozleglejszy obszar górski w Irlandii. Granitowy masyw wznosi się w samym sercu prowincji Leinster, w pobliżu wybrzeży Morza Irlandzkiego. Wicklow, dzięki swojej pięknej i wyjątkowej scenerii, jest nazywane Ogrodem Irlandii.

W górskim krajobrazie znajdują się liczne torfowiska i wrzosowiska, a także kilka jezior polodowcowych. Jednym z bardziej charakterystycznych, położonym między szczytami Djouce i Luggala i zasilanym przez rzekę Cloghoge, jest Lough Tay. Ze względu na swój wyjątkowy kształt oraz ciemny kolor wody zyskało przydomek Jeziora Guinnessa. Dzięki grze kolorów oczko wodne widziane z góry przypomina wielki kufel irlandzkiego piwa. Brunatna tafla wody to szklanka pełna stoutu, a północna piaszczysta plaża to cienka warstwa pianki. Jasny piasek nad brzegiem jeziora został specjalnie przywieziony przez właścicieli części wybrzeża – rodzinę Guinness. Nad brzegiem słynnego jeziora, specjalnie na potrzeby serialu „Wikingowie”, zbudowano wioskę rodem z VIII w.

O czym szumi las

W książce „Sekretne życie drzew” autor opisuje magiczne rzeczy, które dzieją się w lesie. Podobno drzewa rozmawiają ze sobą, troszczą się o siebie, przyjaźnią i nawiązują relacje tak trwałe, że nawet razem umierają. Potrafią też uczyć się, mają zmysł smaku, czują (tak, również ból!), pamiętają. Pójść na spacer i... pogawędzić z dębem, sosną czy bukiem. Pokonwersować z grabem, klonem lub wiązem. Pomówić z lipą, jesionem, dereniem. Zobaczyć, gdzie rośnie zawilec, konwalijka, ziarnopłon. Stanąć oko w oko z czwórzębcem bielańskim, zawisakiem tawulcem, koziorogiem dęboszem. Spotkać dzięcioła czarnego, piegzę i myszołowa. I to wszystko w mieście. Wystarczy zajrzeć do warszawskiego Lasu Bielańskiego – unikalnego reliktu prastarej Puszczy Mazowieckiej.

Przyroda budzi się tu właśnie do życia, lecz pierwsze, co rzuca się w oczy, to... stare fotele, łódówki, gruz. Leżą tu, choć w gminach takie odpady bezpłatnie przyjmują punkty selektywnego zbierania odpadów komunalnych: PSZOK-i. Punkty takie istnieją, aby nie powstawały dzikie wysypiska śmieci. Warto z nich korzystać, bo las jest zbyt piękny, aby zginąć. Las Bielański to najcenniejszy stołeczny rezerwat przyrody. Jego symbolem jest dzięcioł czarny.



FOT. SHUTTERSTOCK



52°17'N 20°57'E

Las Bielański leży w północnej części Warszawy. Z centrum można dojechać zarówno tramwajem, autobusem, jak i metrem.

BIKE STACJA KOZIOŁA



FOT. ALEK STYRNA

Na stoku Koziej Góry, 6 km od centrum Bielska-Białej powstała Bike Stacja Kozioła – specjalnie dla rowerzystów MTB, którzy tłumnie odwiedzają ścieżki Enduro Trails. Można tu przetestować rowery NS BIKES, kupić niezbędny sprzęt, ale to przede wszystkim

Polska Bike Stacja Kozioła

baza noclegowa. Właścicielami są Justyna i Alek – artystyczne dusze ze sportowym zacięciem. On – muzyk rockowy i instruktor nordic walkingu, ona właśnie rozkręca swoją pracownię ceramiczną. Oboje uwielbiają jeździć na rowerach.

W apartamencie przenocuje do 6 osób, można tu przygotować coś do jedzenia, zrobić i wysuszyć pranie po rajdach w błocie i... rozmawiać o rowerach. Szczególnie że bardzo wiele elementów wykończeń zostało wykonanych ze starych części rowerowych. Cały dom jest wybudowany z bali świerkowych. To dzięki temu czuć tu przyjemny żywiczny zapach i jest zdrowo. W ogrodzie rosną maliny, jagody, zioła, z kranów płynie źródłana woda, a widoki zapierają dech o każdej porze dnia i roku.

www.kozioła.com



49°46'N 19°04'E

Bike Stacja Kozioła znajduje się na zboczu góry. Prowadzi do niej wyłącznie droga polna o długości 200 m, dlatego zaleca się przyjazd samochodem terenowym.

Poznaj zwyczaj

Marta Legieć

CYPRYJSKI MARATON KULINARNY



Na początku jest dosyć niewinnie. Na stole pojawia się zielona sałata z pomidorami i sporym kawałkiem sera feta, obok jędrne oliwki, ciepły, pachnący chleb i grillowane halloumi. Jedzeniowy maraton szybko się jednak rozkręca, a ja przekonuję się, że Cypryjczycy przy stole nie znają litości. Trudno jednak mieć im to za złe.

Wielu mieszkańców rzuconego na Morze Śródziemne skrawka lądu przekonywało mnie, że ich kuchnia jest niezbyt wyszukana. Zupełnie się z tym nie zgadzam. Gości na Cyprze witają tysiące smaków i aromatów. Myślę też, że gdyby wyspa miała słynąć tylko z jednej rzeczy, byłoby nią właśnie jedzenie, pod którego wrażeniem od wieków pozostaje nawet boska Afrodyta.

SLOW LIFE

Dla mieszczuchów, przyzwyczajonych do supermarketowej jakości żywności, przyjazd tutaj bywa kulinarną rewolucją, bowiem na Cyprze jada się przede wszystkim lekko, świeżo, aromatycznie. Prostota zachwyca: oliwa zamiast masła, ziarna zamiast mąki, wino zamiast wody i owoce na deser. Główny nacisk kładzie na świeże składniki i pikantne przyprawy.



SPOTKANIE NA TALERZU

Wystarczy zamówić *meze*, by przekonać się, w jaki sposób na Cyprze smaki śródziemnomorskie spotykają się na talerzu z bliskowschodnimi. Fani owoców morza odnajdą tu swój raj.



FOT. MARTA LEGEĆ



FOT. MARTA LEGEĆ



FOT. MARTA LEGEĆ

Zdarza się, że kuchnia serwuje smaki zbliżone do greckich czy tureckich. Nie ma się co dziwić, na cypryjskich tradycjach kulinarnych odcisnęło się wiele różnych wpływów, a odkrywanie korzeni potraw staje się podróżą w czasie, która prowadzi do wszystkich zakątków Morza Śródziemnego.

Nie muszę nikomu przypominać, że podczas kulinarnych polowań sprawdza się znana wszędzie prawidłowość: jeść tam, gdzie mieszkają. Najlepiej nadają się do tego wiejskie tawerny, w których widać, że Cypryjczycy uznają jedzenie za rytuał. Późnym wieczorem swojskie knajpki są pełne wielopokoleniowych rodzin, które delektują się nawet najprostszymi potrawami. Wszyscy wyśmienicie czują się w swoim towarzystwie. Jest czas na rozmowę, śmiech i taniec. Prawdziwy *slow life*.

Zapracowani w dzień, jadają niewielkie śniadanie i skromny lunch, aby wieczorem zasiąść do prawdziwej uczty. Obfitość potraw także pozostawać przy stole przez długie godziny. Trudno się dziwić, że tutejsze biesiady pyszną się opinią najbardziej okazałych w Europie. Jeśli chcielibyście poczuć miejscowy klimat, polecam pojechać w góry Troodos, znajdujące się wewnątrz wyspy, albo na półwysep Akamas na zachodzie wyspy. Drugie miejsce to jeden z niewielu już zakątków Cypru, do którego nie dotarła jeszcze masowa turystyka. Oczywiście przyjemne tawerny znajdziemy nawet w miastach, w Limassol czy Larnace. Wystarczy dobrze poszukać.

POCHÓD MEZE

By zrobić prawdziwie głęboki przegląd miejscowych smaków, w tawernie warto zamówić *meze*, bez spróbowania którego po prostu nie wolno opuszczać Cypru. To nie danie, to cypryjski sport narodowy, który skupia w sobie wszystkie miejscowe smaki, wszystko, co tu najlepsze.

Gdy w restauracji zamówimy *meze*, otrzymamy porcję przeróżnych lokalnych smakołyków: rybnych, mięsnych lub mieszanych. Dań jest kilkanaście, a w wersjach ekstremalnych – nawet kilkadziesiąt. Pochód potraw noszący okrutnie mylącą nazwę przystawki, kulinarnie dał w kość niejednemu przyjeźdnemu. Początek niemal nigdy nie zapowiada bólu brzucha

z przejedzenia, dlatego radzę jeść powoli, rozsądnie sięgać po kolejne porcje.

Na początek podaje się warzywa kochające ostre śródziemnomorskie słońce. Są duże, zielone i kwaskowate, ciemne i pomarszczone oliwki, które podaje się z sokiem z cytryny, czosnkiem i ziołami. Tuż obok ustawia się sałatkę z bakłażanami i miętą oraz wiejski chleb. Na stole z pewnością pojawi się grilowany ser *halloumi* i zielona sałata z pomidorami, na której leży plaster białego, kruchego sera feta, posypany oregano. Obok stawia się marynowane kapary, *tabini* (pastę sezamową) i zawiniątka uformowane z liści winogron, wypełnione ryżem i mięsem, czyli *dolmades*. Aromaty podkreśla ostra, wyraźna oliwa, którą dodaje się tu niemal do wszystkiego.

Po lekkim wstępie czas na prawdziwe rarytasy. Osobiście gustuję w zestawie rybnym. Jeśli taki zamówicie, otrzymacie rozpływające się w ustach świeże krewetki, kałamarnice i małe, smażone w głębokim tłuszczu ośmiorniczki. Widywałam wielbicieli owoców morza, którzy gubili się i nie wiedzieli, co nałożyć na talerz w pierwszej kolejności. Nie mają pojęcia, że to wciąż początek i że za chwilę na stole pojawią się małe *maridbes*, które po obtoczeniu w soli i skropieniu cytryną smaży się i zjada w całości, razem z głową oraz ogonem. I sargusy, które smakują najlepiej prosto z rusztu. Wraz z pierwszymi wiosennymi deszczami zaczyna się na Cyprze sezon na ślimaki, które najlepsze są prosto z grilla.

Przyjezdnym wydaje się to dziwne, w końcu jesteśmy na wyspie, gdzieś na środku morza, ale miejscowi niezbyt często jadają ryby, ponieważ nie należą tu do najtańszych. W ich domach lub na stołach w tawernach króluje raczej mięso. Kiedy zamawiam wersję mięsną, otrzymuję wędzone cypryjskie kiełbaski, *souvlaki* (szaszłyki), *afelia* (gulasz wieprzowy). Jest też wieprzowina z suszonymi owocami i *musaka* (zapiekanka z mielonego mięsa i bakłażana). Są i frytki. Ich smak jest jednak wyjątkowy. Robione z miejscowych ziemniaków, biją na głowę te, które jadaliście w innych miejscach w Europie. Zwieńczeniem mięsnej uczty jest *kleftiko*, uznawane za narodowe cypryjskie danie. Smaki jagnięciny i warzyw w tej potrawie utworzyły harmonijny związek niczym w starym dobrym małżeństwie.

SŁODKIEGO ŻYCIA

W podawanych pod koniec posiłku cypryjskich deserach można się zakochać od pierwszego wejrzenia. Dosłownie. Jeszcze zanim się ich spróbuje, zachwycają feerią kolorów. Tak jak miękkie galaretki zwane Cyprus Delights lub *lokoumi* – słodkie tak bardzo, że nawet największe łasuchy są w stanie zjeść tylko kilka kęsów. Jest też sok winogronowy zastygły na koralach orzechów, pistacji lub migdałów. Sznury *soushoukou* wiszą na straganach albo pokrojone niczym kiełbasa są poukładane na tackach i szczelnie owinięte folią. Podaje się je w niewielkich kawałkach.

HALLOUMI JAK U BABUNI

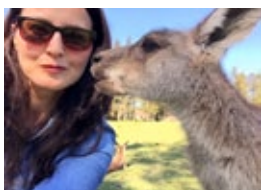
Świeży ser *halloumi* domowej roboty odbiega smakiem od tego, który można znaleźć na sklepowych półkach. Warto wybrać się na wieś i spróbować u miejscowej gospodyni.





KIEŁBASKA NA DESER

Soutzouko (szuszuko) to sztandarowy miejscowy deser, wyglądem przypominający kiełbaski. Cypryjskie gospodynie stworzyły go przed laty z orzechów i soku z winogron. Do deserów podaje się kawę przygotowywaną w tygielku wygrzewanym w gorącym piasku.



Marta Legieć

Z wykształcenia geograf, z zawodu dziennikarka, z zamiłowania fotograf. Nieprzerwanie poszukuje ciekawych miejsc, o których pisze na łamach magazynów lifestylewych i podróżniczych. Z równą ciekawością odkrywa Tokio i Suwałki. Wielbicielka dobrej kuchni i Gdańska, w którym mieszka.

Kandyzowane owoce, nazywane Pocałunkiem Pani Domu, to osobny temat. Oryginalne, pyszne i bajecznie kolorowe. W słodkim syropie, zatrzymującym smak i nadającym intensywny kolor, topi się tu pomarańcze, wiśnie, figi, skórkę cytrynową lub dynię. Są też pyszne orzechy włoskie o smaku, jakiego nie znaliście wcześniej. Należą do tradycyjnych cypryjskich łakoci. Ale nie tylko – to również popularne na wyspie... lekarstwo. Czarne jak węgiel kandyzowane orzechy włoskie jada się choćby przy dolegliwościach żołądkowych.

Deser najlepiej zakończyć kawą przygotowywaną w tradycyjny sposób, w tygielkach rozgrzanych w piasku. Pijać ją możemy według uznania – bardzo słodką, z połową cukru lub gorzką. Deklarację co do ilości cukru w kawie składamy podczas jej zamawiania.

Po posiłku liczyć też można na szklaneczkę *zivani* (gronowego spirytusu) – dla zdrowia, na trawienie, ale też w podziękowaniu za wspaniałą gościnę.

Co z winem? Jest, a jakże! Ma tu swoje dziedzictwo i biografię. Commandaria znana była przez Ryszarda Lwie Serce „winem królów i królem win”. To jeden z miejscowych symboli, winiarska ikona i legenda. Trudno je dostać poza Cyprzem, więc warto się nim na wyspie rozkoszować.

SWOJSKIE JADŁO

Gdy uciekam z miasta, widzę, że tymianek, rozmaryn, oregano rosną dziko na poboczu dróg. Uwalniają aromat, zachęcają do próbowania wszystkiego, do czego się ich dodaje. Im dalej od turystycznych szlaków, tym bardziej swojsko. W leniwych, zapomnianych wioskach wciąż można zjeść po domowemu. Przede wszystkim właśnie poza miastem można zobaczyć, jak wyrabia się *halloumi*, który kilka lat temu uzyskał unijny certyfikat produktu regionalnego.

Biały, półtwardy i elastyczny ser to tutejsza duma, a jego receptura nie zmieniła się od setek lat. Gospodynie, wzorem swoich matek i babek, wyrabiają go z mieszanki mleka owczego i krowiego. Gości częstują świeżym, tuż po wyjęciu z garnka. Ten, który jako kulinarną pamiątkę przywozłam do domu, ma kilka tygodni. Do zgrabnych kawałków sera o wadze ok. 250 g dodano listki świeżej mięty i szczelnie owinięto papierem – tak dojrzewał. Cypryjczycy zajadają się tym rarytatem codziennie od rana do wieczora, zwykle z chlebem, który dla miejscowych jest kolejnym oczkiem w głowie. Uwielbiają białe jak puch pieczywo polane oliwą albo towarzyszące sałatce, która jest nią obficie skropiona. Warto ich naśladować. ◯

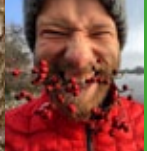


ACTIK

Niezastąpiony towarzysz
nocnych aktywności.

Kompaktowa latarka czołowa o dużej mocy i długim czasie świecenia.

Lekka, wielowiązkowa ACTIK jest idealna do długotrwałych nocnych aktywności outdoorowych. Czerwone światło zapewnia wygodne widzenie w ciemnościach. Opaska z odblaskowymi elementami i zintegrowanym gwizdkiem na wypadek sytuacji ratunkowej. Dostarczona z bateriami jest także kompatybilna z akumulatorem CORE (dostępny jako akcesorium). 300 lumenów. www.petzl.com



MIKROWYPRAWY
Lukasz Długowski

PIELGRZYMKA DO TYKOCINA

Jestem uzależniony. Przynajmniej przede wszystkim od chodzenia. Im dłużej, tym lepiej. Im dalej, tym lepiej. Chodzenie jest jak medytacja. Za nic w świecie nie potrafię usiedzieć w miejscu, za to potrafię w nieskończoność iść przed siebie. Takie świeckie pielgrzymki sobie urządza – przez Słowację, Patagonię, Polskę. I myślę, że chodzenie jest niedoceniane, właściwie pomijane. Przez większość ludzi jest traktowane jako sposób transportu, a w tej banalnej czynności kryje się duża siła.

Chyba największą zaletą jest monotonia ruchu. Powtarzasz te same ruchy, nic w nich nie musisz zmieniać, o niczym nie musisz myśleć. To jak oddychanie w medytacji, w pewnym momencie „ja” znika i zostają same kroki. Taka mała nirwana. Po drugie: sam regulujesz tempo. Masz całkowitą władzę nad sobą, jeśli chcesz, możesz pędzić, jeśli chcesz, możesz się ślimaczyć. Po trzecie: robisz, co chcesz. Zatrzymujesz się, siadasz, stoisz, biegasz, śpiewasz, czytasz, wpatrujesz się w przestrzeń. Wolność totalna. Anarchia niemalże. Po czwarte: chodzenie nic nie kosztuje. Nie musisz mieć specjalistycznego sprzętu, nie musisz trenować, nie musisz lecieć na Karaiby. Możesz zacząć w miejscu, w którym stoisz, a jak będziesz miał ochotę, możesz obejść świat. Kto ci zabroni? Po piąte: chodzenie ma wymiar duchowy. Jest jak pielgrzymka.

Średnie tempo 5 km/h oznacza, że nie dojdiesz na miejsce za pięć minut. Może będziesz musiał poczekać kilka dni, może miesiąc. To, że czekasz i że musisz się natrudzić, żeby dotrzeć do celu, hartuje ducha i podbija wartość tego celu. Im dłużej do niego idziesz, tym bardziej go cenisz. W trakcie wędrówki przygotowujesz się na niego. To jest szczególnie cenne w czasach, w których wszystko możemy mieć na pstryknięcie palcami, na telefon, na kredyt. Na nic nie musimy czekać, o nic się starać, niczego nie musimy doceniać.

Drugą rzeczą, od której jestem uzależniony, jest Tykocin. Niewielkie miasteczko pod Białymstokiem. Byłem tam o każdej porze roku, niemal w każdym miesiącu, i zwiedziłem każdy zakątek. Kiedy tylko zdarza się okazja, jadę. Tym razem zdarzyła się, bo trafiłem tanie bilety. Wsiadłem w poranny autobus do Białegostoku, rozłożyłem się na siedzeniach i zasnąłem. Gdy się obudziłem, byłem na miejscu. Przesiadłem się w busa do Tykocina, z którego wysiadłem w Złotorii. Zszedłem z drogi nad rzekę i dalej spacerowałem brzegiem. Było przedwiośnie, świeciło słońce, ale takim światłem, które praktycznie nie dawało ciepła. Do tego wiało niemiłosiernie. Ale za to byłem sam, nikogo w okolicy, kto mógłby zmącić mój spokój. Rzekę i łąki po horyzont dzieliłem tylko z krowami.

Co jakiś czas zbaczałem z kursu, a to żeby wejść na ambonę i zerknąć na okolicę z góry, a to żeby zejść do rzeki i zanurzyć stopy w wodzie. Nie śpieszyłem się, nie wiedziałem dokładnie, ile mam do przejścia, ale wiedziałem, że w dwa dni dam radę. Zamiast iść na wynik, szedłem po to, żeby się rozluźnić. Żeby mieć frajdę z chodzenia. Czasami mi się to nie udaje, bo jestem nastawiony rywalizacyjnie i nawet jak nie mam nikogo, z kim mógłbym się ścigać, to ścigam się z samym sobą. Próbuję wycisnąć z siebie więcej, iść szybciej, wspiąć się wyżej... Zawsze potrafię zamienić to, co robię, w wyścigi. Mikro-wyprawy pomagają mi się tego oduczyć. Prześcić wiecznie konkurować, bo po co? Wiem, że wszyscy naokoło wmawiają nam, że powinniśmy być lepsi, wydajniejsi, bardziej elastyczni. Tego samego uczą poradniki w księgarniach, coachowie na warsztatach – szybciej, dalej, wyżej. A ja staram się tego oduczyć. Nie chcę być lepszym, chcę być takim, jakim jestem, i mieć z tego przyjemność.

No więc szedłem sobie spokojnie brzegiem Narwi. Niczego szczególnego nie zobaczyłem – żadnych ptaków, zwierząt, przydrożnych kapliczek. Zwykła łąka i przecinająca ją rzeka. Ale dobrze mi było w tej zwykłości, spokojnie. Nic mnie nie rozpraszało, nic przesadnie nie angażowało uwagi. Mogłem po prostu odpocząć.

Kiedy wyszedłem zza kolejnego zakola, zobaczyłem w oddali dwie wieżyczki wybijające się ponad horyzont. Nie byłem pewien, czy to już, ale nie mogło to być nic innego. Sprawdziłem na GPS-ie, dochodziłem do Tykocina. Zostało mi jeszcze kilka kilometrów, które chciałem sobie zostawić na jutro. Poszukałem zagajnika, w którym mógłbym się przespać i z którego będę miał dobry widok na okolicę.

Rozłożyłem matę, śpiwór, rozpiąłem nad nimi płachtę biwakową. W nocy raczej nie miało padać, ale czułem się bezpiecznie.

Nazbierałem chrustu. Drewno było suche, zapaliło się od jednej zapałki. Nie robiłem dużego ogniska, bo ani nie było mi takie potrzebne, ani nie działało na moją korzyść. Im większy ogień, tym bardziej byłbym widoczny. No i następnego dnia trzeba posprzątać palenisko, żeby nie został żaden ślad – z szacunku

do przyrody i gospodarza. Małe ognisko to same korzyści.

Chociaż noc nie była chłodna, a śpiwór miałem dobry, puchowy, było mi zimno. Ciągłe się budziłem. Rano okazało się, że to nie śpiwór zawiódł, ale mata. Zwykle śpię na macie samopompującej, która po rozłożeniu wypełnia się powietrzem. Ma wiele zalet: dobrze izoluje od gruntu, jest wygodna, a po złożeniu jest o wiele mniejsza od karimaty. Ale jest z nią jeden problem: może się przebić o wystające z ziemi kije, kamienie itp. Właśnie tak się stało, mata się podziurawiła, uleciało z niej powietrze i przestała izolować.

Niewyspany, spakowałem graty, sprzątnąłem i poszedłem do Tykocina. Ostatni odcinek był najciekawszy widokowo. Na prawo miałem rzekę i wysokie trzciny, a na lewo – rozlewiska, w których brodziły krowy. Mała uczta dla oczu.

Im bardziej zbliżałem się do miasteczka i dwóch wież kościoła św. Trójcy, tym bardziej czułem, że na nie zasłużyłem. Że przeszedłem swoje i przygotowałem się na to, żeby znowu wejść do synagogi, posiedzieć w ławie kościoła, przejść się na żydowski cmentarz, zjeść wątróbkę po żydowsku w knajpie Tejsza. Mógłbym tu być już wczoraj, przyjechać bussem, ale czułem, że lepiej było poczekać. Trochę się natrudzić, żeby usiąść do stołu. ○

Informacje praktyczne:

- Trasa: Złotoria – Tykocin, ok. 15 km.
- Koszt: 30 zł za przejazd.
- Co zabrać: śpiwór, karimatę, płachtę biwakową, ciepłą odzież, picie, jedzenie, worek na śmieci, latarkę, zapałki.
- Czas: 1–2 dni.
- Poziom trudności: łatwe, dostępne dla każdego.

Łukasz Długowski

Absolwent filozofii, podróżnik, dziennikarz. Autor książki „Mikrowyprawy w wielkim mieście”. Swoje przygody relacjonuje na Facebooku i Instagramie: Mikrowyprawy

Z SIŁĄ WODOSPADU

Albert Karch



FOT. ALBERT KARCH

*Paraíso Perdido. Żeby znaleźć swój raj,
wystarczy zgubić się w odpowiednim miejscu.*

Spróbujcie sobie wyobrazić, co dzieje się w głowie fana Indiany Jonesa chwilę przed pierwszą wyprawą do dżungli. Chęć przygody pompuje krew tak szybko, że poranna kawa staje się zbędna, kultowa melodyjka szumi w uszach, a w głowie przeklinamy celnika, który na przejściu granicznym zarekwirował nasz bat.

Tym większe było rozczarowanie, którego doznałem po przebyciu pierwszych metrów w tropikalnym lesie. Zdałem sobie sprawę, że Spielberg odzwierciedlił realność wyprawy do dżungli metodami użytymi podczas kręcenia „Jurassic Park”. Zatem wszem wobec oświadczam – nie dajcie się nabrać! Nikt w tropikalnej puszczy nie wytrzyma całego dnia w skórzanej kurtce. Nawet Harrison Ford. Najwyżej parę chwil – do pierwszego odwodnienia.

LEPSZY NIŻ NIAGARA

Cała reszta przedstawiona w filmie się zgadza. Były kolorowe motyle, których nie da się sfotografować bez szczęścia i talentu, były też komary, których nikt nie chce fotografować. Były węże, które na szczęście nie miały ochoty pozować pośrodku ścieżki. Były także jaguary, o których dowiedzieliśmy się dopiero po powrocie, ale o nich za chwilę.

Było to za miejscowością Cajuru w stanie São Paulo. Regionie, który nie kojarzy się z tropikalnymi wyprawami Tony’ego Halika. Moja dżungla była dosyć ucywilizowana i często uczęszczana przez ludzi (ale także przez wspomniane jaguary, więc egzotyki nie można jej odmówić). Powód, dla którego tam się udałem, ma ponad 80 m wysokości, oczyszcza duszę i jest całkowicie niewidzialny dla ludzi, którzy nie wiedzą, gdzie go szukać.

Odwiedziłem wodospad Itambé, który uchodzi za jeden z najwyższych w stanie. Chociaż gdy go zobaczyłem, awansował na pierwsze miejsce we wszechświecie zarówno pod względem wielkości, jak i urody. Sądzę, że powinien być to dla niego komplement,

ponieważ w przeszłości miałem przyjemność podziwiać Niagarę, która zrobiła na mnie wrażenie. Tylko że odrobinę mniejsze. Widok wylaniającego się z dżungli słupa wody Itambé wbiłby mnie w fotel, gdybym akurat siedział. Pisząc krótko – o tym odczuciu nie da się pisać krótko.

Żeby tam trafić, trzeba najpierw wdrzeć się na pewne pole kukurydzy, które szumi oddzielone od szosy płotem i tabliczką z napisem: „Wodospad leży na mojej ziemi, więc daj mi dychę albo przebiję ci opony”. No dobrze, może jest to napisane odrobinę mniej dosłownie, ale właśnie o tym informuje tabliczka. Jak ją znaleźć? Trzeba pytać miejscowych, a najlepiej wziąć jednego ze sobą.

Następnie czeka nas, dodająca jedynie atrakcyjności, wycieczka wyschniętym korytem rzeki, które w trakcie pory deszczowej zmienia się w konkurencję dla Itambé. Dzieje się tak, ponieważ miejsce, w którym wodospad rzeźbi krajobraz, znajduje się w głębokiej dolinie.



Po zejściu na sam dół wystarczy iść za słuchem. Huk wodospadu nie pozostawia wątpliwości, gdzie się znajduje, oraz co się stanie, jeśli wetknie się pod niego głowę. W tym momencie Itambé ujawnia swoją zaletę, która stawia go powyżej Niagary. W tym drugim po prostu

za blisko, a tym samym zgniecenie, więc nie ma powodów do niepokoju. Chwila spędzona w pobliżu wodospadu przypomina masaż biczami wodnymi. Dodatkowo, według miejscowej tradycji, taka kąpiel oczyszcza duszę i jest najlepszym sposobem na wejście w nowy rok. Osobiście w to wierzę, bo jeżeli już ma coś oczyszczać, to prędzej duszę niż ciało. Po powrocie wrażliwy na zapachy nos będzie prosił o kawałek mydła.

Warto uważać na swoje rzeczy. Nie polecam brać drogich zabawek ani dokumentów, bo miejsca na ich pozostawienie przy wodospadzie nie ma za wiele i są to wyłącznie pochyłe i gładkie skały. Wystarczy odrobina nieuwagi, aby precjoza runęły w przepaść. Lepiej zostawić je w samochodzie, gdzie będą pilnowane przez właściciela pola kukurydzy, zamiast potem stać z niesamowicie głupią miną i pytać wszystkich, jakie są szanse na to, że się nie potłukło.

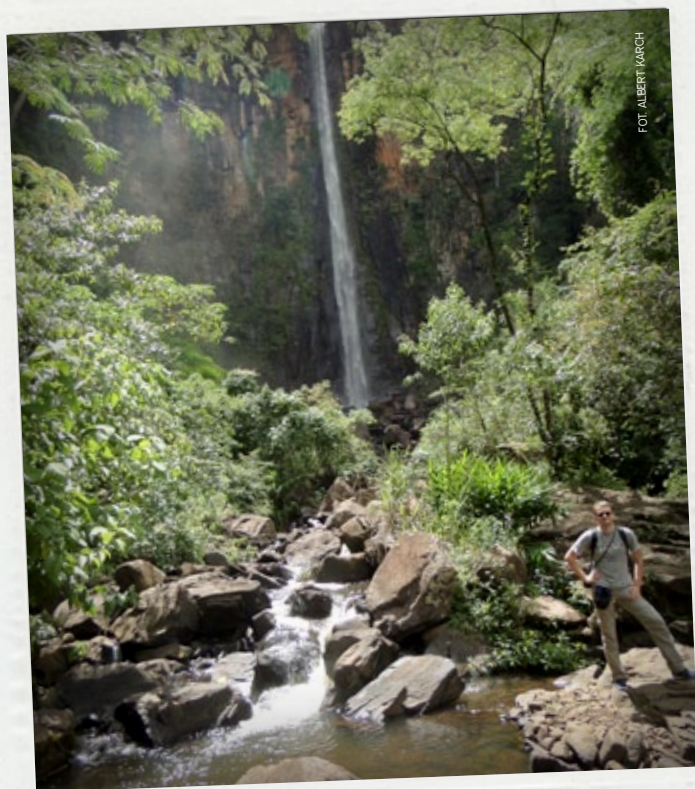
Tak na marginesie, gdyby ktoś z Państwa zdecydował się ruszyć na szlak wodospadów i przez przypadek znalazł telefon marki Samsung, bardzo proszę o kontakt. Miałem tam kilka fajnych zdjęć.

JAK SPOTKAŁEM JAGUARA

W tym miejscu należy wspomnieć o jaguarach. Jeżeli Brazylijczyk ma trochę szczęścia, to nigdy w życiu ich nie zobaczy. Jeżeli Brazylijczyk ma dużo szczęścia, to będzie oglądał je co miesiąc, ponieważ ich wizerunek znajduje się na banknocie 50 reais. Jeżeli Brazylijczyk ma pecha, to jaguara zobaczy raz. A potem już nic nie zobaczy.

Mój przyjaciel wyszedł poza te ramy i miał przyjemność obejrzenia jaguara w odrobinę ciekawszych okolicznościach. Jego sąsiad ma w pobliżu wodospadu dom, gdzie hodował kurczaki. Przez pewien czas coś mu owe kurczaki kradło. Poza tym, w swej beczelności, konsumowało je na miejscu bez fatygowania się o sztucce. Sąsiad podejrzewał bezpańskie psy, więc zastawił stosowne sidła w postaci klatki z zapadnią. Bardzo się zdziwił, gdy znalazł w niej nad ranem jaguara, który od wielu dni urządzał sobie kolacje na jego koszt.

To stawia pod znakiem zapytania możliwość ucywilizowania puszczy, nawet



*Wodospad Itambé. Na co dzień
zajmuję się oczyszczaniem duszy.*

nie da się wykąpać. Siła, z jaką wodospad od wieków uderza w ziemię, stworzyła tutaj sporej wielkości naturalny basen. Woda ma temperaturę, która od razu przywodzi na myśl ostatnie sceny filmu „Titanic”. Na szczęście przyjemnie kontrastuje z nią parzące słońce i temperatura powyżej 30°C, co doprowadza organizm jedynie do niewielkiego szoku.

Polecam wspinaczkę po kamieniach w pobliżu samego wodospadu. Podmuch i siła rozpryskującej się wody uniemożliwią podejście



Kaniony Serra da Canastra oddają nas nie tylko od cywilizacji, ale też od codziennych spraw, epogostawiają miejsce jedynie na podziw.

w najbardziej rozwiniętej części kraju. Może jaguary też czerpią korzyści z tego ucywilizowania i uatrakcyjniają sobie dietę? Nie mam nic przeciwko, dopóki nie przerzucą się na jedzenie importowane, które mówi po polsku.

Też widziałem jaguara w podobnej sytuacji. Było to na samym początku mojego pobytu w Brazylii, kiedy zupełnie zdezorientowany zamieszkałem w pobliżu puszczy przysłaniającej horyzont. Była pełna palm, kolorowych kwiatów i rozłożystych drzew, więc nosiłem się z zamiarem jej odwiedzenia. Pewnego wieczoru zapytałem współlokatora o ten las i rozpocząłem bardzo ciekawą rozmowę:

- *Tam jest dużo zwierząt, gringo.*
- *Tak? A jakich?*
- *Są pająki, węże...*
- *To już wiem, gdzie nie pójdę.*
- *...motyle, małpy, tukany...*
- *To może jednak pójdę.*
- *...jaguary, kapibary, jelenie...*
- *Chyba jednak zostanę.*
- *...lwy, tygrysy, słonie...*
- *Przecież w Brazylii nie ma lwów!*
- *Co? Gringo, ty mnie nie rozumiesz. Tam jest zoo.*

Tego samego dnia zobaczyłem jaguara. I też był w klatce.

ZAGUBIONY RAJ

Wróćmy jednak do tematu przewodniego, ponieważ wodospady są odrobinę łatwiejsze w podziwianiu i nie mają nieładnych nawyków w gryzania się w szyję. Wrażenie, jakie wywarł na mnie pierwszy wodospad, przyniosło za sobą pewien rodzaj uzależnienia, ponieważ już parę dni później jechałem w stronę Serra da Canastra, łańcucha górskiego,

który słynie z kanionów, wodospadów i cudownych jezior. Niestety, szpony kapitalizmu lata temu zamontowały tam elektrownię, ale nie napiszę o niej ani słowa, aby nie obdzierać historii z romantyzmu, którym Serra da Canastra jest przepiękny na każdym kroku.

Miejsce to leży w stanie Minas Gerais, w którym na początku XVIII w. znaleziono



Poszukiwanie wodospadu nie jest łatwe, ale warto zachodu.



Ten krajobraz przez setki lat kusił obietnicą znalezienia złota.
Obecnie zamiast łopaty lepiej zabrać aparat. Jest lżejszy.

wystarczająco dużo złota, aby pozwolić sobie na dodanie złotego rombu do brazylijskiej flagi. Przed przyjazdem słyszałem na temat Minas Gerais tyle superlatywów, że byłem skłonny uznać go za kolebkę wielu brazylijskich skarbów. Mówiono, że jest tam produkowana najlepsza *cachaça* (bimber cukrowy), z najlepszego mleka wyrabia się najlepsze sery, z których powstaje najlepszy *pão de queijo* (chleb serowy) i najlepsze *doce de leite* (słodycze, które przypominają polskie krówki), na tamtejszych wyżynach rośnie najaromatsniejsza kawa itp. Po powrocie jestem skłonny stwierdzić, że to wszystko prawda.

Serra da Canastra jest ogromnym terenem, pełnym pięknych zakątków jak Capitólio czy Furnas, jednak najbardziej polecam skierowanie kół samochodu w stronę O paraíso perdido, co oznacza „zagubiony raj”. Z tym że turysta jest tam o wiele bardziej zagubiony niż sam raj, który zawsze jest w tym samym miejscu i robi wszystko to, co każdy rozsądny raj powinien robić. Mianowicie: oczarowuje.

Paraíso perdido to kilka wodospadów, mniejszych i większych, które opadają po górskim zboczu i doprowadzają nad niewielkie jezioro. Żeby tam się dostać, można zrobić dwie rzeczy. Można bez wysiłku podjechać nad wspomniany zalew, gdzie wejście jest drogie, albo obudzić w sobie ułańską fantazję (i trochę szkockiej natury). Druga opcja poprowadzi w górę, po stromym zboczu, które wymaga od samochodu napędu na cztery koła. Na szczycie znajdziemy chatkę roześmianego hipisa, który za parę groszy popilnuje samochodu i pozwoli przejść przez jego ziemię na najwyższej położony wodospad w łańcuchu.

Dalej czeka parogodzinny marsz w dół, na przełaj, po śliskich skałach kolejnych wodospadów. Nieraz trzeba przesuwając się bokiem wzdłuż ściany, ocierać się brzuchem o skałę i przypominać sobie wszystkie piosenki o aniołach stróżach.

Po wspinaczce i awanturniczej przygodzie polecam wybranie się na rejs motorówką po jeziorze Lago de Furnas. Moim zdaniem motorówka przewyższa statki, ponieważ te nie wpływają między kaniony, gdzie można podziwiać kolejne wodospady.

Rejsy są dobrze zorganizowane, a w większej grupie wcale nie takie drogie. Nie polecam

Poznaj Świat
miesięcznik, który

uzależnia...

od czytania i podróży



teraz uzależnia
**także w wersji
cyfrowej**

Pobierz w
App Store

POBIERZ Z
Google Play

Przeglądaj na www
e.poznaj-swiat.pl



Poznaj Świat
MIESIĘCZNIK

ZAWSZE W ZASIĘGU

POZNAJ ŚWIAT POLECA

jednak afiszować się zagranicznym pochodzeniem. Może się zdarzyć, że po rozmowie o słowiańskich korzeniach pan sprzedawca powiadomi nas, że stawka co prawda wynosi 60, tak jak jest napisane na ogłoszeniu, z tym że nie są to lokalne reais, tylko euro.

Gdy już się z tym uporamy, łódki zawiozą nas w miejsca tak bardzo turystyczne, że nawet doczekały się pływającego podestu z barem i kuchnią. Większość kapitanów wozi ze sobą pianki, których można użyć do unoszenia się na tafli wody bez konieczności majtania nogami.

Zapewniam, że kołysanie się na falach w akompaniamencie wodospadu, z barem w zasięgu wzroku jest dokładnie tym, czym powinna się zakończyć przygoda każdego Indiany Jonesa. ○



Albert Karch

Podróżnik, pisarz, korespondent radiowy, tłumacz. Mieszka w południowej Brazylii. Robi wszystko, aby opisać, jak czuje się człowiek, kiedy potyka się o mango, podpira o palmę, patrzy w górę, a tam tukan goni kolibra.

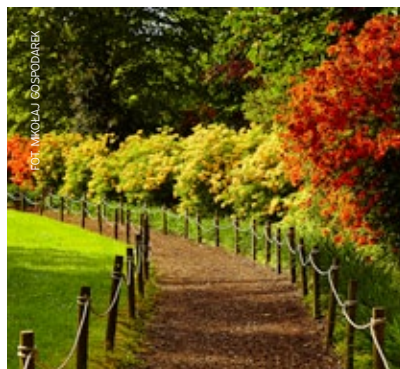


FOT. MIKOŁAJ GOSPODAREK

CZAS NA ARBORETA

Ogród dendrologiczny – to brzmi mało sympatycznie. Z kolei dendrarium przywołuje na myśl chorobę. Zostańmy więc przy arboretum, pochodzącym od łacińskiego słowa arbor, które oznacza drzewo. Brzmi to wszystko tajemniczo, ale te miejsca trochę takie są. W Polsce mamy kilka bardzo znanych w świecie arboretów, ale zazwyczaj są to atrakcje lokalne, mało znane w innych regionach. Odwiedziłem kilka z nich.

Wojsławice wiosną ożywiają. Kiedy zaparkowałem na ogromnym parkingu przed wejściem, wiedziałem, że miejsce musi przyciągać wielu chętnych do podziwiania kolorów i kwiatów. Ten niezwykły kawałek Dolnego Śląska do 1848 r. należał do rodu von Aulock. To właśnie oni najprawdopodobniej przekształcili naturalny las w romantyczny ogród. Park w Wojsławicach konkurował z magnackimi posiadłościami w Książu, Sułowie czy Miliczu i jako



FOT. MIKOŁAJ GOSPODAREK

pierwszy mógł się poszczycić tym niezwykłym ogrodem nierozzerwalnie związanym z epoką. To, co widzimy dzisiaj, jest dziełem Fritza von Oheimba, kolejnego właściciela (od 1880 r.). Był on wybitnym znawcą roślin i park traktował jak żywy obraz, malowany każdego dnia przez naturę. Stworzył sieć stawów i alejek.

Wiosenna wizyta w Wojsławicach to niezwykle przeżycie. Słynna autostrada liliowców zachwyca wielością odmian i kolorów. Park sam oprowadza swoich gości kolejnymi alejkami pośród drzew,

krzewów i kwiatów. Radzę nie planować tu krótkiej wizyty, warto zostać dłużej. Gdybym spróbował zabawić się w ranking polskich arboretów, Wojsławice umieściłbym na pierwszym miejscu.

Te miejsca są oddalone od dużych miast. Dzięki temu nie trafiają tu przypadkowi turyści, ale poszukiwacze piękna, świadomi wartości danego miejsca. Do położonych na Zachodnim Pomorzu Przelewic dotrzeć łatwo, jednak trzeba opuścić główną szosę. Zwiedzanie rozpoczyna się przy pałacu. Najlepiej wybrać się tu na cały dzień, by obejrzeć prawie 30 hektarów parku. Można tu podziwiać rzadko spotykane okazy drzew, jak np. dawidę chińską, świerka tygrysięgo czy mamutowca olbrzymiego. Same nazwy zachęcają do poznania tych cudów. W moim rankingu to mocne i pewne drugie miejsce w Polsce.

Największe i najstarsze arboretum w kraju mieści się w wielkopolskim Kórniku. Na 40 hektarach rośnie około 3300 drzew i krzewów. Przed wejściem obejrzałem zamek z neogotycką wieżą, a później długo spacerowałem alejkami pośród kwitnących różaneczników, z których słynie arboretum w Kórniku. Wiosną oczywiście przyciągają one całe rzesze turystów, ale głównie w weekendy. W środku tygodnia poza wycieczkami szkolnymi można tu spotkać jedynie spokojnych spacerowiczów i pary ślubne, które chętnie fotografują się na tle magicznych róż. Arboretum jest duże i miejscami przypomina las. Warto zwracać uwagę na tabliczki, dzięki którym dowiemy się, w cieniu jakich okazów spacerujemy. Przyznaję Kórnikowi trzecie miejsce!

Na uwagę zasługuje również arboretum w Rogowie. Prawie 54 hektary, a



których znajduje się jedna z najcenniejszych i najbogatszych kolekcji drzew i krzewów w Europie. Należy do grupy tzw. arboretów leśnych i od początku istnienia bada się tu życie drzew. Ten kawałek ziemi pełni nieocenioną rolę w leśnictwie. Niegdyś teren służył jedynie doświadczałnej hodowli. Dziś na gości czekają wygodne hamaki i miejsca, gdzie można odpocząć na oryginalnych ławeczkach. Warto zabrać własny zestaw piknikowy i spędzić w Rogowie cały dzień. Arboretum można zwiedzać na kilka sposobów. Do wyboru są ścieżki tematyczne, które na kolejnych przystankach wyjaśniają wyjątkowość napotkanych okazów. Można też spacerować z przewodnikiem w ręce i po numerkach odnajdywać to, co mamy przed oczami.

Pomiędzy przepięknymi drzewami znalazło się miejsce dla sztuki współczesnej związanej z drewnem, co bardzo urozmaica zwiedzanie i pobudza wyobraźnię. Funkcjonuje tu również szkoła i sklep, gdzie można kupić ciekawe sadzonki. Arboretum w Rogowie zajmuje w moim rankingu czwarte miejsce, ale

pod względem ciszy i spokoju (pomijając majowe weekendy, kiedy wszystko kwitnie) nie ma konkurencji!

Ranking to tylko zabawa. Wszystkie polskie arboreta warto odwiedzić i każde z nich jest na swój sposób wyjątkowe. Mamy ich ponad 30! Często nie są rozreklamowane, a ich sezonowość sprawia, że ludzie szybko o nich zapominają. Każda pora roku pokazuje te miejsca w innej szacie i każda z nich jest na swój sposób interesująca. Maj to idealny czas, żeby zobaczyć je w najciekawszym momencie, kiedy po zimowym śnie budzą się do życia. Zwiedzanie arboretów jest świetną przygodą, podczas której poznajemy naturę z najpiękniejszej strony. ◯

Mikołaj Gospodarek

Większość podróży podporządkowuje utrwalaniu świata na zdjęciach. Ukończył studia na Wydziale Filmu i Fotografii w WSSiP w Łodzi. Jego prace można spotkać w kalendarzach, książkach i na pocztówkach w Polsce i Europie. Realizuje dużo projektów wieloletnich, wraca w niektóre miejsca cyklicznie. Nieustannie poszukuje nowych, mało znanych lokalizacji.





TAKI FINNMARK

Urokliwe fiordy i górskie krajobrazy – takie widoki możemy zobaczyć w regionie Finnmark na każdym kroku.

NIE SAMI SAMOWIE

Kamil Ulik

Północ Norwegii w zasadzie nie istnieje – taki wniosek można by wysnuć, gdyby polegać na większości map Europy. Prawda jest jednak zupełnie inna. Rubież tego kraju to olbrzymie połączenie terenu z wielkim bogactwem natury, surowym klimatem i ciekawą, trudną historią. Prawdziwa Norwegia zaczyna się na kole podbiegunowym, a nawet nieco dalej, w regionie Finnmark. Mieszkańcy dalekiej Północy twierdzą, że to zupełnie osobny kraj.



**OBSERWATORIUM
PÓŁNOCY**

Na najdalej wysuniętym krańcu kontynentalnej Europy przez kilkadziesiąt dni w roku można obserwować, jak słońce nie schodzi poniżej horyzontu.

Północni Norwegowie ubolewają, że politycy, którzy rządzą państwem, nie bywają w tych rejonach. W Oslo tworzą prawo, do którego wszyscy muszą się stosować, gdy tymczasem na Północy wszystko jest inne. Polityków tłumaczy nieco fakt, że dotrzeć tam wcale niełatwo. Główna droga, którą można przejechać ze stolicy na

granicę z Rosją, liczy blisko 2500 km. Wiedzie wzdłuż wybrzeża i jest bardzo kręta. Złośliwi utrzymują, że na jej budowę zużyto więcej dynamitu niż materiałów drogowych.

**DŁUGA PAMIĘĆ
I KRÓTKIE ŁAŃO**

Granica koła podbiegunowego w Norwegii znajduje się powyżej miasta Mo i Rana. Jeszcze dalej leży Narwik, miejscowość dobrze znana Polakom z powodu udziału naszych żołnierzy w walkach II wojny światowej. Mimo że to już koło podbiegunowe, jest tu niezamrażający przez cały rok port przeładunkowy rudy żelaza, która do miasta jest transportowana ze szwedzkiej Kiruny. Było to ważne podczas wojny, kiedy hitlerowskie Niemcy odkryły strategiczne znaczenie tego miejsca.

O szczegółach bitwy o Narwik można się dowiedzieć w Muzeum Wojennym. Jego nową wersję otwarto w lipcu 2016 r. Bilet wstępu kosztuje 100 koron (około 45 zł), co jak na





FOT. ANSAL TREJO - SHUTTERSTOCK

bywa jednak krótkie... Miasto szczyli się najdalej wysuniętym na północ uniwersytetem, katedrą protestancką i ogrodem botanicznym. W lipcu w Tromsø ma miejsce wielki festiwal muzyczny Bukta. Jego zeszłorocznym gościem był między innymi Iggy Pop.

Pięknymi widokami, szczególnie podczas słonecznej pogody, można się delektować na głównej ulicy Grønnegata, a także w porcie czy okolicach jeziora, które znajduje się w centrum wyspy. Na południe od miasta, w Tromsdalen, do którego jedzie się przez most, znajdują się często odwiedzane trasy spacerowe oraz rozbudowany kemping.

ODLUDNY RAJ

Kilkaset kilometrów na wschód od Tromsø zaczyna się odludny raj o nazwie Finnmark. To największy okręg administracyjny Norwegii. Graniczy od południa z Finlandią, od wschodu z Rosją, a od zachodu z norweskim okręgiem Troms. Jest większy od Danii, choć żyje tu tylko 80 tys. ludzi, a nie (jak w Danii) 5,5 mln. Finnmark to region bardzo zróżnicowany – kulturowo, przyrodniczo, a także historycznie. Mieszkający tu Norwegowie, Finowie, Szwedzi i Lapończycy (Samowie) mają często wspólnych przodków.

Lapończycy to potomkowie przedindoeuropejskiego ludu zwanego Lappa, który zamieszkiwał przed tysiącami lat na obszarze Skandynawii. Szacuje się, że żyje ich dziś

na świecie 60 tys., z czego 40 tys. – w samej Norwegii. Zależnie od pochodzenia rozmawiają w jednym z pięciu lapońskich języków. Procesy asymilacyjne wymusiły na większości z nich przejście osiadłego trybu życia, ale nadal trudnią się tradycyjnymi zajęciami:

WSZĘDZIE DALEKO

Drogowskaz z Narvikiem w roli głównej. Stąd wszędzie daleko. To jedyne norweskie miasto, którego nazwę spolszczamy, oczywiście ze względu na naszych żołnierzy.

norweskie ceny jest dość małym wydatkiem. Norwegowie pamiętają o Polakach. Wszystkie osoby, z którymi rozmawiałem w okolicy, wiedziały o naszym wkładzie w tę bitwę.

Kilkaset kilometrów na północ od Narviku leży Tromsø, zwane także Paryżem Północy. To największe miasto w regionie, zamieszkanym przez 80 tys. ludzi. Leży na wyspie Tromsøya. Mimo położenia 350 km za kołem polarnym tutejszy klimat, ze względu na silny wpływ Prądu Zatokowego, nie jest wyjątkowo surowy. Ale lato



FOT. SHUTTERSTOCK

myślistwem, rybołówstwem, hodowlą reniferów. Ta ostatnia jest widoczna szczególnie właśnie w regionie Finnmark.

Za stolicę Samów uchodzi Karasjok, gdzie znajduje się parlament norweskiej Laponii. Ale liczne miejsca, np. muzea, poświęcone ich historii można znaleźć w wielu rejonach na północnych rubieżach Norwegii. To duża atrakcja turystyczna. Lapończycy są świadomi popularności swojej kultury oraz jej waloru „rynkowego”, toteż przy drogach można zobaczyć ich sprzedających swoje tradycyjne wyroby – obuwie, odzież, rękodzieło artystyczne.

ZAMGLONY KRANIEC EUROPY

Podróżniczym rajem Finnmarku jest Przylądek Północny, czyli Nordkapp – jak twierdzą twórcy tamtejszego muzeum (zresztą błędnie, prawdopodobnie z powodu walorów estetycznych miejsca, wysokiego klifu i niezachodzącego słońca), to najdalej na północ wysunięta część kontynentalnej Europy. Znajduje się na połączonej tunelem z kontynentem wyspie Magerøya. Jego współrzędne to 71°10'21". Po uiszczeniu 240 koron od osoby (około 115 zł) możemy podziwiać to miejsce

przez 24 godziny. Nordkapp często jest spowity mgłą, więc dobrze przed przyjazdem sprawdzić prognozę pogody.

Tysiąc dwieście metrów dalej na północ jest wysunięte Knivskjellodden. Wprawdzie widok stamtąd nie jest aż tak zachwycający jak z Nordkapp, ale dotrzeć tam warto. Trzeba tylko pokonać pieszo 9 km trudnej i kamienistej drogi.

Gdy z północnego końca Europy zapagniemy skierować się na wschód, można jeszcze zatrzymać się na chwilę w okolicy i udać do miejscowości Hammerfest, z przepięknym portem położonym wśród stromych i skalistych zboczy. Zobaczymy tam także w wielu miejscach zapory przeciw lawinom śnieżno-skalnym, które zdarzają się tutaj zimą bardzo często.

Kilka kilometrów od miasta znajduje się wyspa Seiland, siódma co do wielkości w Norwegii. Z jednego jej końca na drugi wiedzie 30-kilometrowa droga. Mimo sporych odległości wszyscy mieszkańcy znają się tutaj z imienia i nazwiska. Nic dziwnego, jest ich tu mniej niż 200. Mają sklep i restaurację, ale po większe zakupy muszą płynąć promem do Hammerfestu. Na wyspie dominuje

RENIFERY RZĄDZA

Im dalej na północ, tym ich więcej. Renifery czują się na drogach jak u siebie. Niestety czasem kończy się to dla nich tragicznie.



FOT: SHUTTERSTOCK

112 KILOMETRÓW URODY

Wysokie góry, morze i rybackie wioski. To urzekające Lofoty, liczące aż 112 km długości.





Najkrótsza droga do regionu Finnmark wiedzie przez Szwecję. My jednak sugerujemy podróż przez Norwegię, z jednego prostego powodu. Taka trasa jest znacznie ciekawsza i pozwoli w krótkim czasie zobaczyć najpiękniejsze zakątki krainy fiordów. Dzięki liniom Fjord Line dopłyniemy wprost do Bergen, skąd w drodze do Stryn zobaczymy Sognefjord, najdłuższy fiord świata, oraz błękitne jezory lodowca Jostedalbreen. Za Trondheim czeka kolejna atrakcja, czyli krajobrazowy Szlak Wybrzeża (Kystriksveien), wiodący wzdłuż usianego tysiącami wysp wybrzeża Nordlandu. Po przekroczeniu linii koła podbiegunowego warto zatrzymać się w Narwiku i odwiedzić muzeum upamiętniające udział naszych żołnierzy w bitwie o Norwegię. Ostatnim przystankiem przed granicą Finnmarku będzie Tromsø, nazywane Paryżem Północy. Na liczącej 2200 km trasie czekają nas cztery krótkie przeprawy promowe (dwie, jeśli ominiemy Szlak Wybrzeża).

MISS REINE

Położona na Lofotach miejscowość Reine według jednego z plebiscytów została uznana za najpiękniejsze miejsce w Norwegii.

tradycyjne spokojne życie oraz piękno natury. I to jest jej największym atutem. Dzięki temu ludzie żyją tu i ponad 100 lat. Dla miastowych pomieszkanie tam przez tydzień czy dwa to bardzo ciekawe doświadczenie.

POLOWANIE NA CZAROWNICE I MIŁOŚĆ DO ROSJAN

Jadąc na wschód, odkryjemy uroki Vadsø i jego okolic. W mieście znajduje się m.in. maszt sterowca Norge, którym podróżowali Włoch Umberto Nobile i Roald Amundsen podczas przelotu nad biegunem północnym w 1926 r.

Z kolei w Vardø można się zapoznać z mroczną XVII-wieczną historią. Miejsce to jest bowiem słynne z tego, że palono tu

na stosach czarownice, o czym ma świadczyć pomnik 90 kobiet oskarżonych o czary, a następnie straconych. Fascynaci natury, flory i fauny, a szczególnie ptactwa, z pewnością bardziej docenią walory mieszczącego się w pobliżu parku narodowego i najdalej wysuniętego na wschód punktu Norwegii, czyli wyspy Hornøya.

Wędrówkę po regionie Finnmark warto zakończyć w postprzemysłowej miejscowości Kirkenes, zaledwie 7 km od granicy z Rosją. Wszystkie ulice, a nawet część nazw sklepów i szyld miejskiej biblioteki są oznakowane w dwóch językach – norweskim i rosyjskim. W Kirkenes, a właściwie to w całej północnej Norwegii, Rosjan darzy się wielką sympatią. Z polskiej perspektywy może się to wydawać dziwne, ale Finnmark ma odmienną historię.



FIORDEM! WYBIERZ PIĘKNIEJSZĄ TRASĘ



Twoja podróż marzeń
DANIA-NORWEGIA

NA
PRZYKŁAD:

HIRTSHALS – LANGESUND

OD EURO **31,-**

Samochód plus kierowca
Opłaty paliwowe i podatek w cenie,
opcjonalnie za dopłatą hotel lotniczy

INFO +
REZERWACJA

fjordline.com

Fjord Line GmbH Sp. z o. o. Oddział w Polsce
Wichrowa 4/7 | 60-449 Poznań
Tel.: +48 61 622 78 85 | E-Mail: Rezerwacje@FjordLine.com

R E K L A M A

Podczas II wojny światowej Rosjanie byli wybawicielami Norwegów – przybyli tu z odświeżeniem i pożywieniem, nie krzywdzili ludności i nie zaanektowali nawet skrawka terytorium. Dlatego też na cześć ich żołnierzy dobrowolnie wzniesiono tu nawet pomnik.

Kirkenes to właściwie koniec świata. O czym przekonuje drogowskaz, który pokazuje, jak daleko przyszło nam się zapuścić i przy okazji uszczknąć skrawek mało znanej historii opatrzonej niezwykłym pięknem natury. ○



Kamil Ulik

Podróżnik i początkujący pisarz. W zeszłym roku udał się na wyprawę życia, podczas której w ciągu pięciu miesięcy w pojedynkę okrążył autostopem Bałtyk. Swoje przygody spisuje teraz w formie książki, podróżniczego reportażu. Prowadzi bloga pomaranczowykruk.pl



FOT. KAMIL ULIK

DREWNIANA NORWEGIA

Domy pomalowane na przeróżne kolory i wykonane z drewna to w Norwegii codzienny widok. Na ludzi mieszkających w murowanych budynkach patrzy się tam ze zdziwieniem.

NA SZLAKU Z THULE

Wiosna i lato to nie tylko czas wielkich wypraw w góry i po bezdrożach – to również szansa na weekendowe wypady w ciekawe okolice, krótkie górskie wędrówki i wycieczki krajoznawcze. Idealnym towarzyszem takich podróży będzie nowoczesny plecak trekkingowy, na tyle lekki i wygodny, by nie ciążył podczas długich marszów, a jednocześnie na tyle pojemny, byśmy mogli spakować do niego wszystko, co niezbędne na jedno- lub dwudniową wycieczkę.

Plecaki trekkingowe z logo szwedzkiej marki Thule widzimy na szlaku już od kilku lat – w tym roku na rynku pojawiła się nowa wersja jednego z najbardziej docenianych przez użytkowników modelu – Thule Capstone. Plecak ten jest efektem unikalnego podejścia firmy do kwestii projektowania sprzętu turystycznego oraz ogromnego doświadczenia zatrudnionych w niej designerów (których zespół przed kilku laty rozszerzono o doświadczonych specjalistów od projektowania plecaków).

Ich celem było stworzenie plecaka, który byłby wytrzymały, wygodny, idealnie dopasowany do ciała użytkownika i który jednocześnie byłby w stanie w sprytny sposób pomieścić wszystkie rzeczy niezbędne podczas jedno- czy dwudniowej wyprawy. Taki właśnie jest Thule Capstone – plecak, który każdy może dostosować do swoich potrzeb, a w czasie noszenia – swobodnie regulować, aby doskonale dopasował się do ciała, charakteru wędrówki oraz zawartości.

Idealne dopasowanie

Podczas tworzenia modelu Capstone projektanci wyszli z założenia, że w plecakach trekkingowych – sprzęcie, który często mamy na plecach i biodrach przez większość dnia – kluczową kwestią będzie możliwość idealnego dopasowania ich do ciała użytkownika. To właśnie dlatego każdy z plecaków wchodzący w skład serii Capstone jest dostępny zarówno w wersji damskiej, jak i męskiej. Plecaki męskie są tak zaprojektowane, aby lepiej dopasowywały się do kształtu męskiego karku i bioder, natomiast przy projektowaniu damskich uwzględniono specyficzny kształt kobiecej szyi, karku i talii.

Plecaki są też oczywiście projektowane tak, by można je było dopasować do potrzeb użytkowników o różnym wzroście, szerokości klatki piersiowej i bioder – wszystkie elementy można płynnie regulować, idealnie dopasowując je do potrzeb wędrowca. Co więcej, w serii znajdziemy kilka modeli różniących się pojemnością oraz zestawem funkcji – tak, by każdy znalazł wersję optymalnie spełniającą jego oczekiwania.

Plecaki trekkingowe Thule są bardzo wytrzymałe, wykonane z doskonałych materiałów. Oferują także wiele sprytnych rozwiązań, do przechowywania niezbędnych rzeczy. Regulacja zawieszania umożliwia oparcie ciężaru na biodrach, obrotowe pasy biodrowe poruszają się zgodnie z naturalnymi ruchami użytkownika, a oddychający panel tylny zapewnia komfort i chłodne powietrze nawet w gorący dzień.





Do wyboru, do koloru

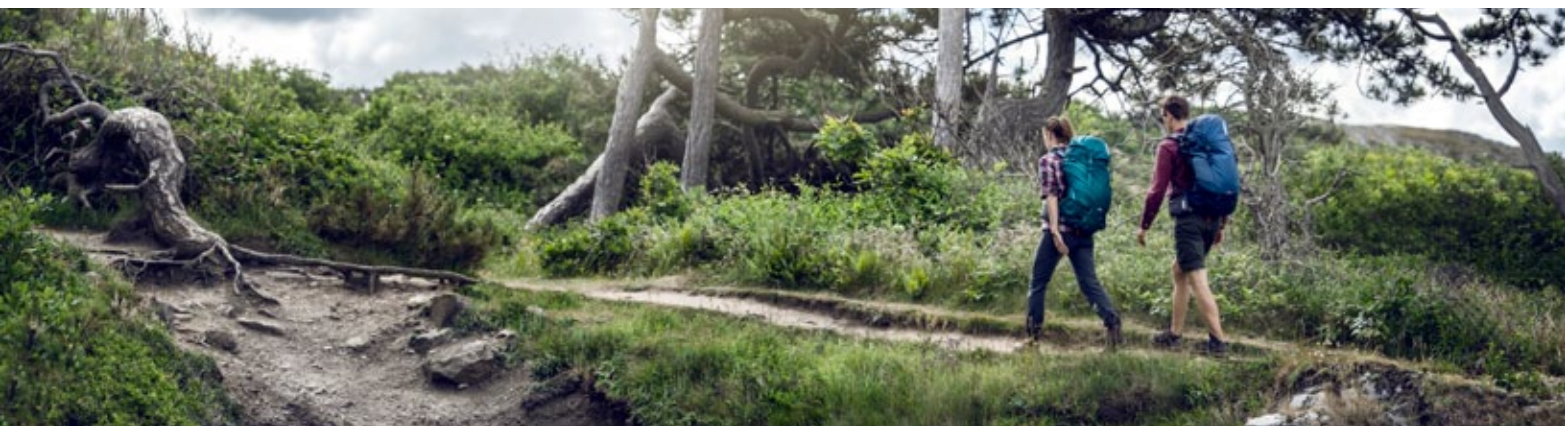
W ofercie Thule znajdziemy obecnie cztery wersje „pojemnościowe” plecaka Capstone – do wyboru są: 22, 32, 40 oraz 50-litrowa. Każda z nich występuje w wariantach damskim lub męskim oraz dwóch, trzech odmianach kolorystycznych. Niektóre z modeli są dostępne w dwóch rozmiarach (np. M/S oraz S/XS). Poszczególne modele minimalnie różnią się pod względem zakresu funkcji i rozkładu kieszeni, jednak najogólniej rzecz ujmując, Thule Capstone to plecak z przewiewnym tylnym panelem i wbudowanym pokrowcem przeciwdeszczowym, wyposażony w szelki i pas biodrowy (dopasowany do specyficznej męskiej lub damskiej budowy ciała – w zależności od wersji). Doskonałym rozwiązaniem jest system regulacji szelek MicroAdjust Suspension, który w zakresie 10 cm umożliwia łatwe dopasowanie założonego plecaka do długości tułowia (występuje on we wszystkich wersjach z wyjątkiem najmniejszej, 22-litrowej).

Tylny panel jest pokryty siatką i zapewnia doskonałą wentylację, odprowadzanie ciepła i potu, natomiast doskonale widoczny, rozkładany pokrowiec przeciwdeszczowy chroni sprzęt nawet w czasie silnych burz. Regulowany pas biodrowy jest kompatybilny z wymiennymi akcesoriami VersaClick (sprzedawanymi oddzielnie – wśród nich znajdziemy np. futerał na aparat fotograficzny oraz wzmocnioną i zabezpieczoną przed wilgocią kieszeń na elektronikę).

Wygodne przypinanie kijków trekkingowych do pasa biodrowego bez zdejmowania plecaka jest możliwe dzięki dołączonemu uchwytowi na kijki VersaClick Pole Holder. Wszelkie drobne przedmioty (przekąski, napoje, telefon) możemy wygodnie transportować w zapinanej przegródce na górze plecaka lub kieszeni na pasie biodrowym. Inne dodatkowe bagaże i akcesoria można przypiąć do przodu plecaka za pomocą solidnego paska z otworami.

Nie tylko Capstone

W ofercie Thule znajdziemy znacznie większy wybór plecaków trekkingowych i wyprawowych – świetną alternatywą dla Capstone na krótkie wycieczki jest minimalistyczny, nowatorski Thule Stir (również dostępny w wersjach damskich i męskich oraz kilku pojemnościach). Osoby, które szukają bardziej pojemnych rozwiązań, idealnych na długie wędrówki, powinny z kolei zainteresować się modelami Thule Guidepost oraz Thule Versant – przepastnymi plecakami turystycznymi z rozbudowanymi opcjami regulacji i dopasowania, o pojemnościach sięgających 85 litrów (w przypadku największego modelu Guidepost). Ze wszystkimi produktami Thule można się zapoznać na stronie www.thule.com – z wygodnym w użyciu konfiguratory, który w kilku krokach umożliwia dobranie plecaka (oraz innych produktów Thule) idealnie dopasowanych do naszych potrzeb.



Elwira Szczecian

BRUNATNA RZECZYWISTOŚĆ


Elektrownia Bełchatów to jedna z największych na świecie, o ile nie największa, elektrowni węglowych, do której przynależy odkrywkowa kopalnia – dziura w ziemi o powierzchni 50 km² i głębokości 300 m. Od ponad 40 lat elektrownia wypuszcza w atmosferę 37 mln ton CO₂ rocznie. Z odpadów kopalnianych została stworzona najwyższa w Europie sztuczna góra Kamieńsk, na której powstał stok, wyciąg narciarski i turbiny wietrzne.

Dzięki dochodom z kopalni gmina Kleszczów jest od lat najbogatsza w Polsce. Oferuje swoim mieszkańcom darmowe: kursy formacyjne, opiekę medyczną, w tym natychmiastowy dostęp do specjalistów, dentystę, wodę, dofinansowania dla dzieci itd. Ulgi podatkowe, tania energia oraz niskie ceny gruntu wyposażonego we wszystkie media przyciągają inwestorów.



Gigantyczne maszyny ładują węgiel. Polska jest jego największym producentem w Europie.





Odkrywkowa kopalnia węgla brunatnego. Koniec wydobycia jest przewidziany na 2050 r. Kopalnia będzie wypoziomowana do 100 m i zalana. Powstanie największe sztuczne jezioro Polski. Na jego dnie zostanie porzucona koparka jako atrakcja dla nurków. Dookoła zbiornika powstanie kompleks rekreacyjny. Już dziś w okolicach kopalni znajduje się wiele hoteli i miejsc chętnie odwiedzanych przez turystów.

Zbiornik wód spadowych z kopalni. Woda ma zbyt wysokie pH i kąpiel w niej nie jest zalecana, ale latem można wynająć rower wodny lub kajak. Mimo surrealistycznego pejzażu przyjeżdża tu wielu wczasowiczów. W 2009 r. powstał kompleks rekreacyjny, w którym jest kręgielnia, biblioteka, audytorium, sala gier, spa, baseny, siłownia, można wynająć rower, a nawet wykupić zabieg chirurgii estetycznej.



Miliony ton węgla czekają na załadunek.
Elektrownia zaspokaja 20 proc.
zapotrzebowania energetycznego kraju.



Bełchatów, widok z osiedla mieszkaniowego.
Miasto nie leży w gminie Kleszczów, więc nie
korzysta z przywilejów jej mieszkańców.



Zbiornik Rogowiec nocą, w tle elektrownia pracuje nieprzerwanie. 45 tys. osób umiera rocznie w Polsce z powodu powikłań związanych z zanieczyszczeniem powietrza.



Elwira Szczecian

Fotograf, Ślązaczka, aktualnie mieszka w Rzymie, gdzie ukończyła Scuola Romana Di Fotografia e Cinema. Fascynuje ją nurkowanie. Specjalizuje się w fotografii reportażowej, podróżniczej i podwodnej.

Jedzenie to nieodzowna, a często również jedna z przyjemniejszych stron podróży. Zdarza się, że z egzotycznych wypraw oprócz pamiątek przywozimy także kulinarne przepisy. I choć pewnie w domu żadna potrawa nie będzie smakować tak samo jak tam, w odległych krajach, to jednak próbujemy te smaki odtworzyć. Nie zraża nas nawet brak oryginalnych składników, które twórczo zastępujemy dostępnymi u nas. W końcu,

podobnie jak nie ma jednej receptury na bigos czy żurek, nie istnieje też jeden słuszny przepis na lasagne, soliankę czy zupę tom yum.

Gotowi jesteśmy przetestować każdy nadesłany przez Czytelników przepis. Najsmakowitsze opublikujemy na łamach tej rubryki.

Podejmiemy każde kulinarne wyzwanie!

Bliny to tradycyjne danie kuchni rosyjskiej. Te okrągłe jak słońce placuszki są symbolem pożegnania zimy i początku wiosny. Podaje się je także na stypach i wystawia na parapet dla głodnych lub pielgrzymów. W najbardziej znanych wersjach serwuje się je z gęstą śmietaną, kawiolem bądź wędzoną rybą, ale warto spróbować również z innymi dodatkami, np. słodkimi.



FOT. JULIA MICHALCZEWSKA



FOT. JULIA MICHALCZEWSKA



FOT. JULIA MICHALCZEWSKA

🕒 1 GODZ. ORAZ 5,5 GODZINY NA WYROŚNIĘCIE CIASTA 🍴 6 OSÓB

BLINY

🍳 SKŁADNIKI:

- 30 g drożdży
- 300 g mąki pszennej
- 100 g mąki gryczanej
- łyżeczka cukru
- 500 ml ciepłego mleka
- 50 ml gęstej śmietany

🍳 Drożdże rozetrzeć z cukrem, zalać połową mleka, wymieszać. Do miski przesiać mąkę pszenną i 2/3 mąki gryczanej, wlać roztwór drożdżowy i wyrobić ciasto. Zostawić do wyrośnięcia w ciepłym miejscu przykryte ściereczką na 3 godziny, a po ich upływie dodać pozostałą mąkę, ponownie zagnieść ciasto i odstawić na 2 godziny. Białka oddzielić od żółtek i ubić na gęstą pianę. Do ciasta dodać pozostałe mleko, żółtka, śmietanę, sól do smaku i wymieszać na gładką masę, a następnie połączyć delikatnie z pianą. Odstawić do wyrośnięcia na 30 minut. Na rozgrzanym tłuszczu smażyć placki z obu stron na złoty kolor.

Rowerem w skały

Maj to wspaniały czas. Przyroda budzi się w pełni do życia, a my razem z nią. Spędzamy czas aktywnie, np. na trekkingu, a coraz częściej na wspinaczce skałkowej. Wiele osób łączy z nią jeszcze jedna aktywność – rower. Dzięki niemu łatwo i szybko można się dostać z kwatery lub pola namiotowego w pobliską grupę skał.



NA ROWER I NIE TYLKO BONTRAGER B2

Koszulka termoaktywna z krótkimi rękawami Profila Dry z technologią aktywnych cząstek 37.5™ i wełną Merino. Ma wydłużony o 8 cm tył idealny do jazdy na rowerze. Uszyta w dopasowanym kroju. Objęta 30-dniową gwarancją satysfakcji.

Cena: ok. 260 zł
www.trekbikes.com

MAŁA I NIEZAWODNA CRANK BROTHERS KLIC

To podręczna pompka rowerowa wykonana z najwyższej klasy materiałów. Dzięki wężykowi na magnes szybko i wygodnie napompuje każde koło. Najlepsza wersja jest wyposażona również w adapter na naboje CO₂. Dostępne dwie wersje: „duże ciśnienie” i „duża pojemność”.



Cena: od ok. 170 zł
www.7anna.com.pl

WYGODA I KOMFORT KEEN TERRADORA

Wykonano je z lekkich komponentów, w tym z przypominającego rękawiczkę siatkowanego materiału wierzchniego, który miękko i precyzyjnie otula stopę, a przy tym wentyluje. Niektóre z modeli zostały wyposażone w membranę KeenDry dla zachowania właściwej cyrkulacji ciepła i wilgoci. Wysoki zapiełek i profilowana blokada pięty umożliwiają stabilizację, natomiast konstrukcja podeszwy zapewnia amortyzację we wszystkich neuralgicznych punktach. Formowany kołnierz o niskim profilu z podwójnej gęstości pianki PU chroni i zapewnia dodatkowe wsparcie, a miękki panel zmniejsza nacisk na wrażliwe ścięgno Achillesa. Pianka EVA o niskiej gęstości zapewnia kobiecym stopom stabilizację bez obciążenia.



Cena: ok. 570 zł
www.keen.pl



E-BIKE Z ZASIĘGIEM KROSS TRANS HYBRID 5.0

Największa polska marka rowerowa KROSS wprowadza nową ofertę rowerów elektrycznych Trans Hybrid w wersji męskiej i damskiej. Rower ma trzy stopnie wspomagania, a na jednym ładowaniu baterii zapewnia pokonanie nawet do 120 km. Model Trans Hybrid 5.0 kosztuje ok. 10 000 zł, ale można go kupić w atrakcyjnym systemie ratalnym 30 × 0%.

Cena: ok. 10 000 zł
www.kross.pl



Cena: ok. 265 zł
www.amc.krakow.pl

UNIWERSALNA I KOMFORTOWA PETZL CORAX

Uniwersalna i w pełni regulowana uprząż do wspinaczki, alpinizmu lub na via ferraty. Lekka, wytrzymała konstrukcja zapewnia komfort w lecie i w zimie. Dzięki dwóm rozmiarom dopasowuje się do budowy ciała. Symetryczne klamry DoubleBack na pasie biodrowym i regulowane taśmy udowe pozwalają dopasować uprząż niezależnie od liczby warstw ubrań. Wygodne zarządzanie sprzętem: dwa usztywnione przednie uchwyty sprzętowe, dwa z tyłu (miękkie, by nie zawadzały o plecak) i minipętla na akcesoria pośrodku. Technologia Frame Construction umożliwia dobrą wentylację oraz równomierny rozkład obciążeń na całej powierzchni pomiędzy taśmami. Występuje w 4 wersjach kolorystycznych. Waga: 490 g / 530 g

JAKOŚĆ I WYGODA GAMBIT VCS

Gambit charakteryzuje się dużą sztywnością i płaskim profilem śródpodeszwy, co zwiększa komfort. Dzięki perforowanemu językowi wykonanemu w technologii Ariaprene stopa nie nagrzewa się w trakcie całego dnia wspinaczki. Użycie gumy Stealth® C4™ sprawia, że Gambit jest idealnym wyborem dla wspinaczy poszukujących uniwersalnych butów. Skórzana cholewka z bawełnianą wyściółką nie powoduje nadmiernego rozciągania się buta. Model dostępny również w wersji sznurowanej. Szczególnie polecany na długie drogi oraz do wspinaczki na sztucznych ścianach od poziomu początkującego do średnio zaawansowanego. Waga: 233 g (dla rozmiaru 42).
Rozmiary: 37-47.



Cena: ok. 500 zł
www.mjSPORT.pl

SUPEREKOLOGICZNA COLUMBIA OUTDRY™ EX ECO TECH SHELL

Outdry™ Ex ECO Tech Shell to innowacyjne rozwiązanie dla osób, które potrzebują niezawodnej ochrony przeciwdeszczowej. Ta stworzona z 21 plastikowych butelek kurtka sprawdzi się podczas spaceru w deszczu po parku oraz w trudniejszym i bardziej wymagającym terenie. Odpowiednie dopasowanie ułatwiają regulowane mankiety oraz dolna lamówka. Kurtka ma dwie zapinane i obszerne kieszenie, a wszystkie zamki błyskawiczne są zakryte, co sprawia, że są nieprzemakalne.



Cena: ok. 800 zł
www.columbia.com

Cena: ok. 450 zł
www.regatta.com



CAŁOSEZONOWA OCHRONA REGATTA IMBER II

Wodoodporna, oddychająca i bardzo wytrzymała kurtka z górskiej kolekcji Point 214. W tym sezonie w nowej, ulepszonej odsłonie. Dzięki zastosowaniu nowoczesnego materiału ISOTEX 5000 i całej gamy technicznych rozwiązań kurtka ochroni przed każdym załamaniem pogody. Aby maksymalnie przedłużyć jej żywotność, została zwiększona odporność na rozdarcia. To doskonały wybór na cały rok.

DLA ZAWODOWCÓW BLACK DIAMOND SOLUTION

Uprząż została stworzona z myślą o wspinaczach sportowych. Jest wykonana w technologii Fusion Comfort, która gwarantuje wygodę podczas wspinania. Ma 4 optymalnie wyprofilowane szpejarki z gumowym opłotem, które ułatwiają dostęp do szpeju. Waży zaledwie 330 g. Klamra na pasie biodrowym umożliwia szybkie zapinanie uprząży, a elastyczne gumki w nogawkach ułatwiają dopasowanie do uda. Jest dostępna w 2 wersjach kolorystycznych dla kobiet oraz mężczyzn.



Cena: ok. 320 zł
www.skalniki.pl

Outdoor



Cena: ok. 280 zł
www.mmmsklep.pl

LATWE DOPASOWANIE MAMMUT OPHIR SPEEDFIT

Nowoczesna regulacja pętli udowych pozwala w ciągu kilku sekund dopasować uprząż. Cechuje się ona również dużym komfortem użytkowania, wysoką oddychalnością i maksymalną swobodą ruchów. Sprawdzi się na ściankach wspinaczkowych, w skałach i na via ferratach. Dostępna również w wersji damskiej.



Cena: ok. 370 zł
www.himalsport.com.pl

IDEALNE PROPORCJE SCARPA ORIGIN

Niezwykle uniwersalny but wspinaczkowy o idealnych proporcjach. Podeszwa Scarpa Vision 5 mm gwarantuje optymalne tarcie, a naprzemiennie zapinane rzepy gwarantują komfort użytkowania. Cholewka wykonana ze skóry i microfibr. Występuje w rozmiarach: 34–50 (wraz z półówkami). Waga: 225 g (but w rozmiarze 42).

LEKKI THULE STIR 20 L

Uniwersalny plecak trekkingowy sprawdzi się w górach i w mieście. Ma łatwo dostępne kieszenie, demontowalny pas piersiowy oraz możliwość ukrycia pasa biodrowego. Wygodnym rozwiązaniem jest rozciągliwa kieszka na pasie naramiennym (np. na telefon). Szelki i panel tylni są wentylowane. W plecaku jest miejsce na bukłak (sprzedawany oddzielnie) z otworem na rurkę, a także kieszenie boczne na dwie butelki wody. Thule Stir jest dostępny również w wersjach o pojemności 15 i 35 l (oraz kilku wariantach kolorystycznych).



Cena: ok. 400 zł
www.thule.com

UNIWERSALNE SIMOND EDGE

Buty do wspinaczki skałkowej, halowej lub do bulderingu. Bardzo precyzyjne na małych chwytach. Zapewniają maksymalne czucie na chwytach bardziej zaokrąglonych. Są miękkie i wygodne, a zarazem dobrze trzymają stopę. Mają sznurowanie z możliwością regulacji stopnia ściśnięcia stopy.



Cena: ok. 400 zł
www.decathlon.pl

SPOSÓB NA ZAPACHY SMELL WELL

To proste i skuteczne rozwiązanie na nieprzyjemny zapach butów sportowych, plecaków, rękawic itp. Saszetki są bezpieczne dla środowiska, łatwe w użyciu, działają 3 miesiące i dobrze wyglądają. Skutecznie pochłaniają również wilgoć.



Cena: ok. 35 zł
yota.com.pl

COLUMBIA OUTDRY™ EX ECO TECH SHELL

Wiosenne dni zachęcają i mobilizują do prozdrowotnych postanowień. Jeśli za cel wyznaczaliśmy sobie regularną aktywność fizyczną bez względu na panujące warunki pogodowe, a do tego marzy nam się podążanie za ekologicznymi trendami, to naprzeciw wychodzi marka Columbia. Outdry™ Ex ECO Tech Shell z kolekcji Titanium jest nowością na rynku. Kurtka została w całości wyprodukowana



z poliestru pozyskanego z recyklingu. Nie tylko materiał jest proekologiczny, ale również sposób jej tworzenia. Tkanina jest biała, co zmniejsza zużycie wody na proces barwienia o 13 galonów. Nawet najdrobniejsze elementy ubrania – od zamków błyskawicznych, przez oczka, sprzączki, aż po etykietę – są wykonane z materiałów pozyskanych z recyklingu.

Kurtka zachwyca nie tylko ekologicznością, ale przede wszystkim parametrami technicznymi. Jest wyposażona w wysoce zaawansowaną membranę OutDry™ Extreme, dzięki czemu ma całkowitą odporność na wodę. Powłoka zewnętrzna

ma mikroskopijne otwory, które przepuszczają parę wodną. Kurtka zdała egzamin w wyjątkowo niekorzystnych warunkach. Podczas trekkingu w deszczu przy dość wysokiej temperaturze ochroniła mnie zarówno przed zmoknięciem, jak i przed nadmiernym spocieniem pomimo wzmożonego wysiłku fizycznego. Tkanina od wewnątrz jest



miękką i przyjemną w dotyku, co w znaczący sposób podnosi komfort użytkowania. Również membrana jest proekologiczna, została pozbawiona związków PFC, które co prawda są bezpieczne dla człowieka, ale szkodzą środowisku. Wszystkie szwy mają zewnętrzną laminację, co dodatkowo podnosi jej właściwości wodoszczelne.

Outdry™ Ex ECO Tech Shell ma wiele udoskonaleń, które na pewno doceni każdy użytkownik, a dzięki którym nie odbiega od standardów wyznaczonych przez modele „mniej ekologiczne”.

Kaptur jest obszerny, ma regulację, a także lekko usztywniony daszek. Kurtka ma krój active, który jest doskonałą alternatywą pomiędzy szerokim regularnym krojem a mocno zwężanym fit. Dzięki temu wygodnie przylega do ciała, ale jednocześnie umożliwia pełną swobodę ruchów i założenie pod spód nieco grubszej warstwy. Odpowiednie dopasowanie ułatwiają również regulowane mankiety oraz dolna lamówka. Kurtka ma dwie zapinane i obszernie kieszenie, a wszystkie zamki błyskawiczne są zakryte, co zapewnia ich nieprzemakalność.

Niezwykle ważną i przydatną cechą kurtki jest jej wytrzymałość zarówno na uszkodzenia mechaniczne, jak i zabrudzenia. Biały kolor, do którego na początku byłam nastawiona sceptycznie, w żaden sposób nie przeszkadza w utrzymaniu czystości, a zabrudzone miejsce wystarczy przetrzeć.

Outdry™ Ex ECO Tech Shell to innowacyjne rozwiązanie dla osób, które potrzebują niezawodnej przeciwdeszczowej kurtki, a dla których los środowiska nie jest obojętny.

Test: Ewa Miedzińska

CRANK BROTHERS DOUBLE SHOT 3

Double Shot 3 to połączenie platformowych pedałów z zatraskową technologią Crank Brothers. Jedna strona jest dostosowana do jazdy w normalnych butach, a druga z blokami. Testowałem je we włoskiej miejscowości Finale Ligure, znanej m.in. z zawodów kolarskich Enduro World Series. Po raz kolejny „cranki” pozytywnie mnie zaskoczyły i pomogły w pokonywaniu trudnych tras.

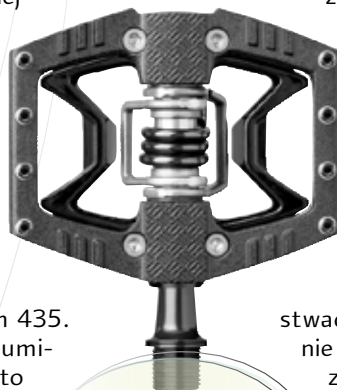
Oś stanowi odkuwana na zimno stal scm 435. Korpus wykonano z aluminium A380. Skrzydełka to stal nierdzewna 17-4PH, natomiast sprężyna – stal nierdzewna 300. Podobnie jak w innych modelach są dwa warianty kąta wypięcia: 15° i 20° (w zależności od montowanych bloków). Zastosowano w nich łożyska maszynowe i igiełkowe. Strona z platformą ma 8 wymiennych pinów. Waga pedałów to 403 g (para). Mają gwarancję na 5 lat.

W Finale Ligure zjeżdżałem na nich w obu opcjach – w wypięciu i na platformie. Piny świetnie trzymały but, a wpięcie trwało sekundę, mimo że pierwszy dzień jeździłem w błocie. Double Shot 3 to świetna propozycja dla osób, które jeżdżą zarówno w pedałach wpinanych, jak i platformowych. Odpowiednie buty (np. Five Ten Stealth) sprawiają, że będziemy w pełni kontrolować rower. To również dobra propozycja dla początkujących i średnio zaawansowanych riderów, dla których jazda z wpiętymi butami jest jeszcze zbyt niebezpieczna w bardzo trudnym terenie. Z platformy znacznie szybciej ściągniemy nogę, aby podeprzeć się w razie upadku. Double Shot 3 sprawdzi się również, gdy błoto przyklejone do roweru i butów nie pozwoli na wpięcie ich w pedały. Są bardzo uni-

wersalne. Na takich pedałach można wygodnie jechać nawet w zwykłych trampkach czy adidasach.

Pedały przeznaczone są do jazdy enduro i all mountains, ale można z nich skorzystać w rowerze do maratonów. Jakość i trwałość ich wykonania oceniam jako jakiś czas, ale sądząc po użytych materiałach i bardzo zbliżonej konstrukcji do modelu Mallet E, wróżę im długi żywot. Po tygodniowych szaleństwach (i kilku wywrotkach) nie widziałem żadnych oznak zużycia. Mogę je polecić każdemu, kto szuka uniwersalnych i niezwykle trwałych pedałów do kolarstwa w typowo górskim wydaniu.

Test: Grzegorz Miedziński



Cena: ok. 560 zł
www.7anna.pl

Cena: ok. 800 zł
www.columbia.com



Na szali

Lata 70. to czas nowych wyzwani, rozmachu i... wielkiej nadziei. Edward Gierek zainicjował gigantyczne inwestycje, podniósł stopę życiową Polaków i kupił licencję na coca-colę. Wszyscy wiemy, jak zakończyła się gierkowska dekada. Hiperinflacja, kryzys, liczne strajki...

Lata 70. to również czas kolejek, i to nie tych elektrycznych, o których marzył każdy chłopiec. Stanie w kolejkach wpisane było w życie codzienne Polaków. Stało się po wszystko. Ludzie ustawiali się w rzędkach nawet do wagi ulicznej, która po wrzuceniu monety poprawiała bądź psuła im humory. Wagi samoobsługowe wyczekiwały przechodniów na miejskich targach, w przejściach podziemnych oraz czatowały na podróżnych przy dworcach i zajezdniach. Ważenie się na ulicy, wśród czekających na swoją kolej osób, było publicznym wystąpieniem. W centrum zainteresowania znajdował się ten, kto stawał na szali, podczas gdy inni patrzyli.

Zdjęcie zostało wykonane w Warszawie w sierpniu 1971 r.





FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE



GRECJA – METEORY



EKWADOR – ZAMIESZKAĆ Z INDIANAMI



ISLANDIA – DZIEŃ PRZEZ CAŁĄ DOBĘ

Poznaj Świat

MIESIĘCZNIK

Redaktor naczelna
Katarzyna Rojek
katarzyna.rojek@poznaj-swiat.pl

Sekretarz redakcji
Julia Michalczevska
redakcja@poznaj-swiat.pl
tel. 535 444 990

Zespół i współpracownicy
Ryszard Badowski, Anita Demianowicz, Łukasz Długowski,
Maria Giedz, Mikołaj Gospodarek, Maciej Jastrzębski,
Marcin Kołpanowicz, Sławomir Kozdraś, Marta Legieć,
Tomasz Owsiany, Magdalena Żelazowska

Grafika & DTP & Prepress
Maciej Jurkowski, Julia Michalczevska

Korekta
Joanna Lewandowska

Adres redakcji
80-252 Gdańsk, ul. Jaśkowa Dolina 17
redakcja@poznaj-swiat.pl
www.poznaj-swiat.pl

Wydawnictwo
PROBIER sp. z o.o.
80-180 Gdańsk, Kowale ul. Glazurowa 7

Koordinator do spraw wydawniczych
Beata Pernak
prenumerata@poznaj-swiat.pl

Jak zamówić prenumeratę?
Zadzwoń i dowiedz się: 58 350-84-64

PRENUMERATA KRAJOWA
numer rachunku 77 1140 1065 0000 2145 6200 1004
posiadacz rachunku PROBIER

PRENUMERATA ZAGRANICZNA
mBank SA, Gdańsk, ul. Wały Jagiellońskie 8
IBAN PL 77 1140 1065 0000 2145 6200 1004
SWIFT BREXPLPWGDA

 facebook.com/miesiecznikpoznajswiat

Marketing i reklama
marketing@poznaj-swiat.pl
tel. 535 444 980

Reklama outdooru
Grzegorz Miedziński
tel. 501 641 706

Reklama świata
Aleksandra Musiał
tel. 664 115 333

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca. Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian tytułów, opracowania redakcyjnego tekstów oraz graficznej korekty zdjęć. Redakcja nie odpowiada za treść zamieszczanych reklam i ogłoszeń. Opinie zawarte w artykułach są osobistymi przekonaniami ich autorów.

NA LEKKO



ACT TRAIL PRO

Doskonale przeniesienie ciężaru
i wentylacja w systemach
nośnych firmy Deuter



deuter

www.deuter.com

Jack
Wolfskin

AT HOME OUTDOORS

POZNAJ LETNIĄ KOLEKCJĘ
I POCZUJ #WILCZYZEW

Montyne

www.jack-wolfskin.pl